Nr. 272. Lwów — Wtorek dnia 29 Listopada. Rok 1898.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 5 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie opisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 60 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
w „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo tłustym petitem po . . . . . 2 „
tłustym garmondem po . . . . . 5 „
Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . . . 6 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . 20 ct.
Ogłoszenia do *Przeglądu* przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 30 ct. od wiersza.

Dziś: św. Saturnina M. — Hryhorya Neok.
Jutro: św. Andrzeja Ap. — Platona M.
Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*
Wschód słońca o g. 7 m. 33
Zachód „ „ 4 „ 4
Długość dnia g. 8 m. 31
Ubyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 28 listopada.

Zdaniem hakatystów pruskich, zaczynają okazywać się w Poznańskiem „zatrważające objawy" — niektóre organy władzy państwowej nie dorosły do wysokości swego zadania, postępują podług własnej myśli, która się nie zgadza z myślą rządową, ani z wolą narodu, wyrażoną niezliczone razy przez sejm. Oczywiście, coś się zepsuło w maszynie biurokratycznej, więc trzeba to coprędzej naprawić. P. Miquel z hakatystami naprawi spostrzeżone niedomagania biurokracyi, zobaczmy więc o co tu chodzi i jakie-to są „zatrważające objawy". Wytknięto dotąd dwa — później znajdzie się więcej.

Z owych dwóch pierwszem jest to, że w okręgu gnieźnieńsko-witkowskim podczas ostatnich wyborów do sejmu pruskiego zwyciężyli Polacy kilku głosami większości. Skąd ona się wzięła, kiedy przy poprzednich wyborach był nieco inny stosunek głosów? Jakim sposobem liczba wyborców niemieckich spadła z 52 na 49 procent? Czy to jest prawidłowy, niejako logiczny skutek całej polityki germanizacyjnej, pracującej pełną parą? Postawiwszy przed sobą takie pytanie, hakatyści jęli szukać odpowiedzi i znaleźli fakt niesłychanie zdrożny. Oto, komisya generalna, która, nie kierując się względami politycznymi, pożycza pieniądze wszystkim kmieciom, jacy chcą rozparcelować pomiędzy sobą jakieś dobra szlacheckie, ułatwiła kilku Górnoślązakom nabycie zagród w gnieźnieńskiem. Ci Górnoślązacy żyją w zgodzie z ludnością miejscową, a więc oczywiście nie mają zmysłu dla ideałów hakatystycznych. Oni to głosowali na polskiego kandydata. Rzecz tedy jasna, że komisya generalna szkodzi polityce rządowej, działa podług swego widzimisię i trzeba ją oddać pod kontrolę [illegible].

Wprawdzie w ostatnich czasach, na mocy rozporządzenia ministeryalnego, a wbrew ustawie o dobrach rentowych, już komisya generalna stała się w Wielkopolsce bardzo zależną od komisyi kolonizacyjnej, ale jak z rezultatów widać, to nie wystarcza. Trzeba uchwalić odpowiednią ustawę i potem przerobić komisyę generalną, aby w niej [illegible] wznioślych celów hakaty. To jest jedna sprawa, usilnie zalecana sejmowi pruskiemu.

A teraz druga. W Poznaniu odbył się proces o oszczerstwo, zarzucone przez [illegible] redaktorowi *Posener Tageblattu*. Proboszcz zbąszyński ks. Sobeski odmówił swego udziału w pogrzebie jakiegoś Augusta Matuli, który za życia szerzył [illegible] i zmarł bez skruchy. Prawo kanoniczne [illegible] chrześcijańskiego pogrzebu i to uczynił ks. Sobeski. Bezwzględnie *Posener Tageblatt* zgorszyło się [illegible] kapłana. W każdym innym wypadku [illegible] tym razem rzuciło się na proboszcza, bo jego ścisłe spełnianie obowiązków kapłańskich wpływa dodatnio na religijne uczucia parafian, co wcale nie leży w interesach germanizacyjnych i luterskich. Jak ze śmieciarki posypały się z *Posener Tageblattu* oszczerstwa na księdza proboszcza. Odsądziło go to pismo od wszyskich uczuć ludzkich, zarzuciło mu różne brzydkie czyny, a tylko zrobiło go agitatorem polskim, który dlatego nie chciał pogrzebać Matuli, że był to wielki przyjaciel Niemców. Ksiądz arcybiskup pozwolił księdzu proboszczowi wytoczyć proces hakatystycznemu pismu. Powołano kilkudziesięciu świadków — Niemców i Polaków — a wszyscy składali hołdy wielkiej bezstronności i zacności księdza Sobeskiego. Oskarżony redaktor Reissmüller także głosił długą mowę o swej patryotycznej pracy i o tem, że bezwzględnej prawdy niema na świecie, jest zaś tylko względna, zastosowana do potrzeb społecznych, a to mówi, że ksiądz Sobeski działa wbrew intencyom rządowym, zatem każdy prawy Prusak może go zwalczać wszelkimi sposobami. Tylko trochę przekonała ta mowa pruską sprawiedliwość, bo skazano Reissmüllera na 100 marek grzywny. Jeżeli który redaktor polski, albo duński wytknie państwowcom niegodziwość nadużycia władzy, to choćby dowiódł, że istotnie tak było, zawsze przecież nie uwolni się od zarzutu „podawania w pogardę instytucyj państwowych" i będzie szczęśliwy, jeżeli odpokutuje grzywną pięciuset marek. Zazwyczaj idzie do kozy. Reissmüller, jako hakatysta, zasłużył na wszelkie względy i zapłacił tylko sto marek, choć z całą świadomością podawał w pogardę w osobie kapłana instytucyę kościelną, o wiele wznioślejszą od państwowej.

Ale ten wyrok, sam fakt zasądzenia hakatysty za rzucanie się na Polaka i znieważanie go poprostu przeraził polakożerczą prasę. Wyjechała z tem, że to jest „zatrważający objaw" i że trzeba przeciw temu jakoś się bronić, bo jeżeli tak dalej pójdzie, to na „wschodnich kresach" trudno będzie żyć dobrym Niemcom ...

O Niemcach można nie mówić. Ich nazwa jest nadużywaną. Ale Prusacy ogromnie postępują w deprawacyi.

Wszystko zawiodło Hiszpanię: wojsko, dyplomacya, naród, nadzieja na litość zwycięzkiego nieprzyjaciela — i upadek jej będzie większy, niż przepowiadali najbardziej zatwardziali pessymiści. Zdaje się po prostu, że leci ona w przepaść niczem i że zostanie z niej tylko geograficzna nazwa. To nie jest skutek jednej wojny ze Stanami Zjednoczonemi — to są [illegible] dwuwiekowy nierząd. [illegible] jeszcze raz wyzyskał Hiszpanię, gdy jej delegaci przystali w końcu na ustąpienie Stanom archipelagu filipińskiego za 20 milionów dolarów [illegible] przywileje handlowe, [illegible] wszystkie długi [illegible] oświadczył, że owe 20 milionów dolarów Ameryka zapłaci nie zaraz [illegible] zobowiązania [illegible] milionów dolarów, za które [illegible] Florydę w lutym 1819 roku. [illegible] prywatnych [illegible] ścigane przez sądy nawet w Stanach; lecz [illegible] państwo, wówczas to zachodzi [illegible] i od krzywdzonej ohydnie, słabej Hiszpanii odwracają się z pogardliwą niechęcią.

Ale ona sama nie ma nad sobą litości i to jest najgorsze, w tem jej [illegible]. Katalonia i Aragonia — w dwóch najbogatszych prowincyach — obudził się prąd separacyjny, grożący całości samego rdzenia państwowego. Ten prąd począł tworzyć czyny. Katalończycy wysłali do królowej-regentki deputacyę z żądaniem dla siebie praw osobnego kraju: sejmu, gabinetu, kontyngentu wojskowego i t. d. Aragończycy postąpili jeszcze bezwzględniej, bo ich przeróżne rady handlowe, miejskie i powiatowe, zjechawszy się w Saragosie, wprost uchwaliły odrębność swej prowincyi z zachowaniem federacyjnego stosunku do innych części państwa. Wybranej na tym zjeździe komisyi polecono opracować statut krajowy. A więc nie uważano nawet za właściwe uprzedzić o tem królowej i rządu, co jest znakiem wymowniejszym od samej skłonności odśrodkowej. Za tym przykładem poszła Walencya. Jest to odwet za czyn nielegalny popełniony w r. 1713 ym przez Filipa V. Wówczas rzecz tak się miała: bezdzietny król Karol II, ostatni Habsburg na hiszpańskim tronie, przekazał testamentem królestwo nie prawemu dziedzicowi korony, późniejszemu cesarzowi austryackiemu Karolowi VI, lecz synowi swej siostry, zamężnej za francuskim Ludwikiem XIV, Filipowi d'Anjou. Wywiązała się stąd 12 letnia wojna sukcesyjna, w której Katalonia, Aragonia i Walencya, oraz prowincye baskijskie z Nowarą stanęły po stronie pretendenta austryackiego. Wojna skończyła się pokojem w Utrechcie. Na rzecz cesarza Karola VI utraciła Hiszpania Neapol, Sardynię, Medyolan i Stany holenderskie, a na rzecz Sabaudyi — Sycylię. W samej Hiszpanii pozostał Filip i traktując Katalonię, Aragonię i Walencyę jako kraje zdobyte, odebrał im wszystkie prawa samorządne. W Biskai i Nowarze musiał na razie uszanować starożytne instytucye autonomiczne, zwane „Fueros", lecz zwolna rozwijając despotyzm i centralizacyę podług wzoru, stworzonego we Francyi przez ojca jego Ludwika XIV, uszczuplał prawa owych fueros, aż je zniósł zupełnie. Królestwa, złączone w federacyę hiszpańską, stały się zwyczajnemi guberniami. Ale lud nie zapomniał tego, co było, co sam przez wieki stworzył, i teraz, gdy państwo osłabło, przypomniał swe prawa. Oprócz tego prądu federacyjnego rozszerza się karlistowski, liczący na rozgoryczone wojsko, które, wróciwszy z Kuby, Portoriko i Filipinów, oskarża rząd o to, że jakby umyślnie nie dopuścił do żadnej poważnej bitwy z Amerykanami i przegrał kampanię tylko przez własne niedołęstwo, oraz wskutek niesłychanej korrupcyi falangi biurokratycznej. Oczekiwana jest proklamacya Don Carlosa, w której on podobno przyrzeknie historycznym prowincyom powrót do dawnych form federacyjnych, a Weylera, którego wojsko powała, ma jakoby samianować dyktatorem. Sam Weyler trzyma się na uboczu, podobno nawet wyjechał za granicę Portugalii, widocznie tedy wyczekuje obrotu wypadków. Ruch karlistowski wspierają pieniędzmi zagraniczni masoni, licząc na to, że w ostatniej chwili zamiast Don Carlosa osadzą jakiegoś prezydenta republiki. Republikanie hiszpańscy, których jest sporo, także sprzyjają prądowi federalistycznemu, raz dlatego, że osłabi monarchię, a powtóre, że im się zdaje, iż źródłem siły Stanów Zjednoczonych jest ich federalistyczny ustrój. Wszystkie tedy liberalne żywioły albo całkiem się odwróciły od monarchii, albo, należąc do umiarkowanych i tworząc stronnictwo Sagasty, dźwigają na sobie skutki przegranej wojny, czyli są skompromitowane. W takiej sytuacyi jedno tylko pozostaje królowej: zwrócić się do konserwatystów i to mianowicie do ich klerykalnego odłamu, a to dlatego, by duchowieństwo wiejskie odciągnąć od karlistów. Podobno sam Sagasta radzi królowej powołać do steru konserwatystę Silvelę, a ministrem wojny zrobić jenerała Polavieję, zwanego w Hiszpanii „katolicką szablą". Mówią jednak, że ta kombinacya jest niepopularna, w każdym zaś razie przepowiadają jej klęskę razem z klęską monarchii, jeżeli się nie podda prądowi federalistycznemu.

Po rozprawie galicyjskiej.

Piszą nam z Wiednia 25 listopada:

Przewidywania nasze nie zawiodły. Wniosek Daszyńskiego został odrzucony bardzo znaczną większością głosów. Podczas gdy przy dawniejszych wnioskach oskarżenia ministrów większość wynosiła co najwięcej 19 głosów, wniosek Daszyńskiego wczoraj upadł 96 głosami przeciw 189. Cała prawica głosowała solidarnie przeciwko wnioskowi. Na lewicy blisko 100 posłów usunęło się od głosowania. Większością $^2/_3$ części głosów parlament uznał, że w danych okolicznościach zaprowadzenie stanu wyjątkowego było koniecznością, przykrą, ale nieuniknioną koniecznością, jak to swego czasu wykazał *Przegląd*. Także wczoraj mówcy radykalni powtarzali bajkę, że stan wyjątkowy został zaprowadzony na żądanie Koła polskiego. Wprawdzie hr. Thun na wtorkowem posiedzeniu uroczyście zaprzeczył tej bajce; zaprzeczył jej także wczoraj główny mówca Koła p. Milewski, co nie przeszkodziło, że ją powtarzali i powtarzać będą radykaliści. Skoro jednak parlament tak ogromną większością uznał, że wprowadzenie stanu wyjątkowego było w danych warunkach koniecznem, tem samem też uznał, że Koło polskie, gdyby było istotnie zaleciło użycie tego środka dosadniego przywrócenia spokoju publicznego i bezpieczeństwa osób, nie byłoby się dopuściło żadnego „nowego złoczynu". Złoczynu rzeczywistego dopuścili się tylko ci, którzy swemi wykroczeniami zakłócili porządek publiczny, a pomiędzy tymi znowu winniejszymi są instygatorowie, niż ciemna masa włościan, która uległa zbrodniczym podszeptom.

Charakterystycznem znamieniem tych rozpraw było, że, wyjąwszy prezesa gabinetu, przemawiali wyłącznie posłowie z Galicyi, dwa razy socyalista Daszyński, z Koła polskiego Potoczek, dr. Byk i profesor Milewski, z umiarkowanych Rusinów Karatnicki, z ludowców Stapiński i dr. Winkowski, i radykalny Rusin Okuniewski. Ks. Stojałowski, odpoczywając na wawrzynach ostatniego wesołego występu, wczoraj poprzestał na interrupcyach, chociaż podniesiono przeciwko niemu tak ciężkie osobiste zarzuty, tak wyraźnie wskazywano na niego jako na instygatora zaburzeń włościańskich, że moralnie był zobowiązany oczyścić się z tych zarzutów.

Poseł Potoczek poruszył myśl ograniczenia liczby karczem, o czem, mówiąc w nawiasie, obecnie przemyśla także rząd belgijski. Dr. Byk przemawiał ze stanowiska izraelitów galicyjskich. Professorowi Milewskiemu przypadł zaszczyt odpowiedzenia w imieniu Koła na niecne napaści Daszyńskiego. Professor Milewski wywiązał się z tego zadania w najgodniejszy sposób, wykazując spokojnie argumentami poważnymi całą przewrotność deklamacyi Daszyńskiego i w ogóle taktyki naszych opozycyonistów, którzy jedynego lekarstwa na wszystkie choroby i niedomagania krajowe dopatrują się w walce przeciw Kołu polskiemu. Jeżeli we wszystkich kołach poważnych namiętność gwałtowna Daszyńskiego musiała wywołać przekonanie, że jego zarzuty przeciwko szlachcie wynikają z idyosynkrazyi radykalnej, — bo prawda nie używa podobnej przesady! — to spokojne i wytrawne wywody prof. Milewskiego niewątpliwie zupełnie przekonały żywioły rozsądne o bezzasadności owych napaści, a więc znacznie przyczyniły się do przerzedzenia szeregów lewicy przy głosowaniu. Koło polskie z tej próby ognistej wychodzi zwycięsko.

Podobno pod koniec posiedzenia hr. Wojciech Dzieduszycki wysłał hrabiego Czernina i barona Ludwigstorffa jako sekundantów do Daszyńskiego, aby zażądać satysfakcyi. Według *Reichswehry* Daszyński odpowiedział im: „Powiedzcie hrabiemu: On jest katolikiem, ja protestantem (? socyalistą). Niechaj oszczędzi sobie grzechu a mnie głupstwa." P. Daszyński więc gruntowniej przestrzega zasad socyalno-demokratycznych, aby się nie pojedynkował, niż np. naczelnik socyalnej demokracyi Lassalle, który poległ w pojedynku z baronem Rakowicą.

Korespondencye.

Wiedeń, 26 listopada.

(*y*) Prawdziwem oblaniem zimną wodą dla niektórych Niemców austryackich, zwracających coraz czulsze oczy ku Berlinowi, są owe kartki z pamiętników Bismarka, odnoszące się do zawarcia pokoju w r. 1866 i normujące wzajemny stosunek obu państw. Nigdy jaśniej i dobitniej nie wypowiedziano, że dla Niemców austryackich w państwie niemieckiem miejsca niema i być nie może i że od Tyrolu do Bukowiny właśnie w interesie niemieckiego państwa, może i powinna wypełniać kartę geograficzną Austrya. A że stary kanclerz kreślił te wspomnienia w ostatnich latach, nie dodaje zaś w pamiętniku żadnej wzmianki, jakoby pod tym względem zmienił był w czemkolwiek swoje zdanie od wypadków r. 1866-go, całe to jego programowe zapatrywanie się na przyszły stosunek Niemiec do Austryi nabiera zdwojonego znaczenia i wagi. Kiedy znów w Izbie który z radykałów narodowych niemieckich z tęsknotą zwracać się będzie ku tej przyszłości, kiedy Niemcy austryaccy połączą się z Niemcami z niemieckiego cesarstwa, można mu będzie spokojnie wskazać, że projekt ten i to marzenie spełnionem chyba nigdy nie będzie, bo się wręcz sprzeciwia interesom niemieckim cesarstwa i rdzennej treści programu jego twórcy, który jeszcze pozagrobowym głosem ostrzega przed niewczesną mrzonką wspólności niemieckiej, sięgającej po za stałe granice obu państw. To pewna, że nigdy Bismark lepszej przysługi nie wyświadczył Austryi, jak tem pośmiertnem odezwaniem się w tej chwili właśnie i takim właśnie tonem.

Czy słowa te na rozmamiętnione umysły podziałają otrzeźwiająco, czy opozycya przerwie nareszcie swoją obstrukcyjną, wprost przeciw państwu skierowaną działalność, to przyszłość pokaże. W tej chwili jednak postępu dopatrzeć się trudno. Interpelacya narodowego stronnictwa niemieckiego o wyjawienie 26 rzekomych postulatów czeskich zdaje się być bowiem jawną już i niezawodną zapowiedzią obstrukcyi. Bo zarówno brak odpowiedzi ze strony rządu, jak odpowiedź zadawalająca Czechów, będzie sygnałem dla podjęcia na nowo obstrukcyi. Tak więc te postulaty tu, jak po tamtej stronie Litawy żądanie, aby baron Banffy wyjawił układ z rządem austryackim na wypadek nie dojścia w terminie parlamentarnej ugody do skutku, mają być pretekstem obstrukcyi przeciw parlamentarnemu tej ugody załatwieniu. Tu i tam tedy aspekta nie zbyt różowe.

W ogóle w tej chwili, przed dłuższą przerwą parlamentarną, spowodowaną jubileuszem Cesarskiem, wszelkie spoglądanie wstecz, na to co Rada państwa w sesyi bieżącej zdziałała, jest bardzo smutne. Ministeryalne oskarżenia bez miary i końca, oto jedyny owoc pracy dotychczasowej, a to wśród ciągłych zapewnień opozycyi, iż obstrukcyi nie robi i robić nie chce. A wszystkie ostrza zwrócone zawsze przeciw nam, przeciw Galicyi i Kołu polskiemu i wśród tego koncertu obelg, widok najwstrętniejszy Polaka renegata, plwającego na własny kraj wobec obcych!

---

24)

DOBRE ZIARNO.

POWIEŚĆ

przez

ALCES.

(Ciąg dalszy).

— Nie mów, moja matko, nie mów — błagała Iza zakrywając twarz rękoma.

— Muszę, muszę, muszę — powtarzała chora. — Izo — zerwała się, usiadła na łóżku podpierając się ręką — dałam cię jemu — zawołała — by się w ten sposób pozbyć długu u niego zaciągniętego i... i pozbyć się jego samego, jego szczególnie. Byłam ci macochą, będę twoim wiecznym wstydem. Mówił mi ksiądz, którego, czując się bliską śmierci, wezwałam, że za ciężkie moje grzechy ciężką lub długą muszę odprawić pokutę, na długą już czasu nie mam... wybrałam ciężką... tak ciężką, że chyba cięższej i sam Bóg by mi nie zadał... jest mi tak straszną, tak gorzką, że kara wszystkie grzechy całego życia chyba przewyższa, może je tą chwilą okupię. Pozostaje mi prosić cię jeszcze o jedno Izo — złożyła ręce, błagalnie wyciągając je do córki — Izo! — powtórzyła — nie przeklinaj mnie!

— Matko! — zawołała Iza. Obejmując schorzałą postać, ułożyła ją na poduszkach i biedną twarz, po której dwie duże łzy powoli spływały poczęła gorąco całować; chora uspokojona nieco tą pieszczotą, przymknęła oczy jakby do snu ukołysana i tak leżąc cicho oddychała spokojnie, że Iza była pewną, iż usnęła na prawdę. Usiadła na fotelu obok łóżka i nieokreślone ogarnęło ją uczucie. Nie była to senność, nie było czuwanie, ani zaduma, ale jakaś błogość niepojęta w tej smutnej chwili, uczucie, które gdyby była w stanie nad niem się zastanowić, porównać by tylko mogła do tego, jakiego natura o wschodzie słońca doznawać musi. Jakieś słońce poczynało w jej sercu wschodzić, gdy tych kilka słów z ust matki usłyszała: Seweryn byłby się o ciebie starał. Te wyrazy nie spadły na nią rozpaczą za straconem szczęściem, ale były jakby radosnym zwiastunem, a słońce wschodzące coraz jaśniej i wyżej w ciemności dotąd pogrążonemu sercu odsłoniło jeden obraz, jedno imię, jedno słowo i jedno uczucie, miłość!

— Nie przeklinaj — szepnęły usta chorej. — Iza nachyliła się nad matką i zobaczyła jej oczy szeroko otwarte i pełne jakiegoś przerażenia.

— Bo przekleństwo dziecka — mówiła dalej dziwnie zmienionym głosem — strasznie cięży na grobie matki... Izo... cokolwiek byś się jeszcze o mnie dowiedziała, nie przeklinaj!..

Chora poczynała zdradzać wielki niepokój, oglądała się w koło siebie, wzdrygała co chwila i urywanymi słowy powracała ciągle do tej myśli — czy trwogi przekleństwa.

Widząc to Iza, ulękła, wzięła w swoje ręce obie ręce matki i patrząc w jej zamglone oczy, głosem przyciszonym ale wolnym i wyraźnym w te słowa odezwała się do niej:

— Cokolwiek by mnie o tobie doszło, już teraz przebaczam, cokolwiek zawiniłaś przeciwko mnie, już przebaczyłam i przysięgam ci, moja matko, że z wdzięczności za życie, które mi dałaś, ja cię tylko błogosławić będę. Bądź spokojną.. bądź błogosławioną...

Chora przysunęła do siebie rękę Izy i chciała do niej usta przyłożyć, ale one odmówiły jej tej, po raz ostatni żądanej posługi, skurczyły się, zwarły i nie otworzyły więcej. Pani Ostawska pozostawała bez ruchu, otwarte oczy i wstrząsające całem ciałem drgania, świadczyły jedynie, że żyje jeszcze. Klęcząc koło umierającej, głośno modliła się Iza.

W pokoju zrobiło się szaro, potem coraz jaśniej, nareszcie dzień nastał. Z gorącej modlitwy, w jakiej była zatopioną, zbudziły Izę zbliżające się kroki. Był to lekarz, spojrzał na chorą, nachylił się nad nią i przymykając jej otwarte powieki:

— Już jej nie ma pomiędzy nami — szepnął.

Młoda kobieta pozostała na klęczkach, patrząc na tę, której już nie było przy niej a w której teraz, kiedy ją mogła widzieć dokładnie, zaledwie rysy matki poznawała. Choroba wyryła swe piętno przedwczesnej starości, twarz umarłej uderzała wyrazem wielkiego cierpienia a jakby przez ironię okalały tę twarz pożółkłą, starą, zmęczoną, jasno złotawe włosy, których młodzieńczego, choć widocznie sztucznie nadanego im wyglądu, nie zmogła choroba, nie zmogła śmierć nawet. Na Izie zrobiły one tak przygnębiające, tak rozpaczliwie smutne wrażenie, że z tem większem wzruszeniem, kładąc rękę na głowę matki:

— Bądź błogosławioną — szepnęła.

— Pani wybaczy, że jej modlitwę przerywam — przemówił lekarz — ale miałbym z panią do pomówienia, — a kiedy znaleźli się w przyległym pokoju:

— Życzeniem zmarłej — zaczął — której byłem nie tylko lekarzem, ale wieloletnim znajomym, było, abym się po jej śmierci zajął wszystkiem a pani wszelkiego trudu oszczędził. — Chciałbym zatem wiedzieć, czy pani nie ma nic przeciwko temu?

— Będę panu nad wyraz wdzięczną, jeżeli pan życzeniu mojej matki zadość uczyni — odpowiedziała, podając mu rękę z niekłamaną wdzięcznością, którą odczuć musiała dla człowieka, który jej w tych trudnych i niezwykłych okolicznościach w pomoc przychodził.

— Dziękuję pani za okazane mi zaufanie i zaręczyć jej mogę, że nie będę szczędził trudu, by wszystko, jak należy załatwić. Przed kilkoma laty śp. matka pani oddała mi wielkiej doniosłości usługę. Będę szczęśliwy, gdy się jej choć w ten sposób odwdzięczę.

Poleciłem służbie, by pani zaraz podano herbatę, gdyż muszę przecież niektóre rzeczy pani powiedzieć i o niektóre zapytać, a widzę, że pani bardzo potrzebuje posiłku i wypoczynku. Pozwolę sobie zatem poradzić pani, byś potem pojechała do siebie i wierzyła, że tu cię szczery i wdzięczny przyjaciel zastąpi.

Wypowiedział to wszystko krótko, zwięźle, bez emfazy jak rzecz, którą się prawdziwie czuje, a udzieliwszy jej kilka niezbędnych szczegółów, zadawszy kilka koniecznych zapytań:

— A teraz — rzekł powstając — niech pani jedzie do siebie.

— Nie panie, ja tu pozostanę aż do powrotu pana — odpowiedziała.

Lekarz pojechał, zostawiając ją siedzącą przy stole i siląca się daremnie na wypicie podanej herbaty. Tymczasem dwie zawezwane siostry miłosierdzia zabierały się umarłą do ostatniej gotować podróży. Przodujący Izie przed każdem innem uczuciem, obowiązek nakazał jej być obecną przy tej ponurej czynności, weszła więc z zakonnicami do pokoju umarłej. Gdy tak stała oparta o ścianę, oczy jej przeglądały uważnie pokój, jak żeby czegoś szukały, coś odnaleść pragnęły w tem najbliższem otoczeniu matki, coby o jej życiu, o jej myślach i czynach inaczej świadczyło, niż to wrażenie jakie jej się gwałtem narzucało, a przed którem broniła się z jakimś szalonym uporem, z zawziętością rozpaczy. Ta sypialnia była typem pokoju dwuznacznej elegancki, przepełniona przyborami tualetowymi, a tyle rafineryi było w tych sprzętach, że stanowczo przekraczały one granice elegancyi, a wchodziły w dziedzinę galanteryi.

Nie mogąc dłużej znieść tego widoku, który wydawało jej się, że profanuje powagę śmierci:

— Moja siostro — rzekła — trzeba, by te wszystkie drobiazgi pochować.

Dla schowania ich trzeba było otwierać szafy i szuflady, a i ztamtąd ją dolatywała jakby woń przenikająca tej galanteryi. Znała ją tylko z nazwiska, określić by jej nie umiała, ale ją instynktem przeczuła i czuła także, że jeżeli dłużej na to patrzeć będzie, rozszlocha się na głos cały. Wyszła zatem i poczęła chodzić po całym apartamencie, szukając jak tonący łodygi, której by się mógł uczepić — czegoś, nie wiedziała czego, ale szukała uporczywie. Byłaby w tej chwili oddała część życia za to, by gdzieś zobaczyć czy to fotografię ojca, czy też jakąkolwiek drobnostkę, którą zwykła dawniej widzieć w otoczeniu matki. A tu nic, nic, wszystko nowe, obce, takie dziwne i straszne obce. Nic swojskiego, nic domowego, nic świadczącego, że się znajduje w domie matki. Powiędłe kwiaty, kurzem grubo przysypane sprzęty, zbytek jaskrawości kolorów, a wszędzie porozrzucane listy, kartki, bilety. Wzięła jedną z tych kartek do ręki i wydała jej się dziwną, wzięła drugą, a przeczytawszy ją, twarz jej stała się purpurową, kilka słów wyrażnych w swym brutalnym cynizmie wystarczyły by całą prawdę, której poczynała się domyślać, przed którą się wzdrygała i broniła, przed nią odsłonić. Syknęła z bólu, z purpurowej stała się śmiertelnie bladą, a cofając się bezwiednie, napotkała ścianę o którą opierając się ciężko, ruchem zrozpaczonym rękami głowę objęła.

— Matko! moja matko! — jęknęła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sąd czytelników

o książce: *Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego. Józef Weyssenhoff.* *).

Książka pod powyższym tytułem w Warszawie wydana, zelektryzowała całą tamtejszą inteligencyę. U nas w Galicyi, ukształcony ogół nie zwrócił dotąd należytej uwagi na jej oryginalną treść i artystyczną formę. Dzieło p. Weyssenhoffa, to świetna satyra przedstawiająca rodzime wady naszego narodowego charakteru i ujemne w nim strony wpływów zagranicznej cywilizacyi na tle życia wyższych warstw społeczeństwa polskiego w Warszawie, napisana z werwą, dowcipem i życiową prawdą. Forma jest życiorysem człowieka, który był najbardziej „wyrazem swych czasów, okazem swego stylu". „Zygmunt Podfilipski, to postać wymowna przesiąknięta nami samymi, postać której nie można pominąć w rocznikach naszej cywilizacyi" jak mówi o swym bohaterze fikcyjny autor niego żywota. Najoryginalniejszym bowiem pomysłem p. Weyssenhoffa, było wprowadzenie do dzieła swego, sympatycznej postaci p. Jacka Ligenzy w roli fikcyjnego biografa głównego bohatera książki. P. Jacek Ligenza, człowiek inteligencyą i wychowaniem należący do pierwszych sfer towarzyskich, literat z zawodu, od lat kilku znał dobrze p. Zygmunta Podfilipskiego, będąc zaszczycanym przez niego „stałą przyjaźnią i poufną nieraz rozmową". Gdy po dłuższym czasie przyjaznych stosunków i ciągłego niemal widywania się z sobą obu tych panów, Zygmunt Podfilipski podczas bytności swej w Paryżu, życie nagle „na apoplektycznym anewryzm serca" zakończył; p. Jacek Ligenza, któremu jeszcze za życia Zygmunta, przyszła myśl do głowy, aby tę postać typową unieśmiertelnić w literaturze i historyi, myśl swą w czyn zamienia. Wnet po świecie całym rozchodzi się wieść głucha, jakoby p. Jacek Ligenza był bezwzględnym wielbicielem i panegirystą ś.p. Zygmunta Podfilipskiego. W imię prawdy musimy się z góry zastrzedz przed tak złośliwą insynuacyą. Że Ligenza lubił p. Zygmunta, tak jak się często lubią wzajemnie ludzie, do jednej i tej samej sfery towarzyskiej należący, pomimo nieraz kardynalnej różnicy zapatrywań na świat i na życie, nie da się zaprzeczyć. Ale że z drugiej strony biograf ten dobrze poznał i trafnie ocenił moralną wartość swego bohatera i jego całą filozofię życia; na to musi się zgodzić każdy myślący czytelnik, przeczytawszy z uwagą książkę p. Weyssenhoffa. Już w przedmowie samej do „Żywota Zygmunta Podfilipskiego", mogą czytelnicy zauważyć, ten delikatny sarkazm, z jakim biograf mówi o p. Zygmuncie, „że miał zawsze dobry apetyt, nie ten pospolity apetyt na mięso i sen, który cechuje gminne natury, ale na śmietankę w każdem tego słowa znaczeniu". Głos nasz nie jest głosem krytyki fachowej, która dzieło p. Weyssenhoffa postawiła słusznie i sprawiedliwie obok pierwszych dzieł naszej współczesnej literatury. Jest tylko sądem przeciętnym czytelników, którzy tę książkę czytali, nad nią dużo myśleli i o niej we wzajemnych rozmowach często dyskutowali.

Nie będziemy więc krytycznie oceniać dzieła p. Weyssenhoffa; zdajemy tylko sprawę z wrażenia, jakie ono na nas wywarło. W autorze książki poznaliśmy zarówno wielkiego artystę, jak głębokiego psychologa i poważnego myśliciela, „sens życia" trafnie pojmującego. Ogólne zaś wrażenie nasze skoncentrowało się w postaci głównego bohatera. Zastanowiwszy się nad nim, dochodzimy do wniosku, że Zygmunt Podfilipski, to nie jest człowiek żyjący; to tylko uosobienie wszystkich ujemnych stron i wpływów rozkładającej się cywilizacyi dziewiętnastego wieku, odbitych w całem pokoleniu współczesnem a zebranych w jednym typie charakteryzującym dobę naszą. I dlatego to w tym Zygmuncie Podfilipskim, egoiście bez serca, człowieku „odczłowieczonym", głupim, próżnym, rozpustnym, bez żadnych zasad moralnych, który sam przez się jest wstrętnym dla każdego normalnego człowieka, każdy z nas jako normalny człowiek, spostrzeże i pozna jakąś ujemną stronę swego lub bliźnich charakteru, odbitą w tym ogólnym typie. Podfilipski jako typ uosobiający wszystkie ujemne strony tegoczesnej kultury, może być trafnie porównanym z drugim takim typem zbiorowym „Fin de siècle", odtworzonym genialnem piórem Sienkiewicza w postaci Płoszowskiego. Jest jednak między tymi dwoma typami charakteryzującymi epokę naszą, zasadnicza różnica w pojmowaniu rozkoszy życia. U Płoszowskiego pojęcie to było natury intelektualnej. Najwyższą bowiem jego rozkoszą było „topienie się we własnem wnętrzu", przeanalizowanie każdego uczucia, każdego drgnienia własnej duszy, niemal każdej myśli. Płoszowski był więc uosobieniem „arystokraty ducha", był „Nadczłowiekiem (Uebermensch)" Fryderyka Nietsche'go. Podfilipski zaś cały „rozprasza się w zmysłach", pojmuje rozkosz jedynie w zadowoleniu zmysłowem i swą „podniosłą filozofię życia" nie wychodząc poza granice epikureizmu, stoi jako typ moralnie o wiele niżej od Płoszowskiego, zasługując na to bezsprzecznie, aby jakiś drugi Nietsche nadał mu miano „Podczłowieka (Untermensch)". Nie jeden z czytelników zapyta zdumiony: „Jakto, Zygmunt Podfilipski, ten wzór wykwintnych form towarzyskich, nowożytny „arbiter elegantiarum", ten apostoł cywilizacyi, o jasnej i ruchliwej myśli, wygłaszający błyskotliwe zawsze a nieraz tak trafne aforyzmy, ten filozof z taką giętkością moralną i fizyczną prześlizgujący się przez świat, stałby niżej moralnie od takiego dekadenta par excellence jak Płoszowski"? A jednak tak jest! Bo Podfilipski żyjąc tylko zmysłami, dając folgę najniższym, prawie zwierzęcym instynktom, poniża w sobie godność człowieka i budzi obrzydzenie: gdy Płoszowski cierpiący na nieuleczalną chorobę duszy, wywołuje uczucie litości.

Aby zrzucić ten ciężar, tę „bryłę lodu", jaka nam zaciężyła na sercu a p. Ligenzie na mózgu, „zimną logikę pana Zygmunta" powiedzmy jeszcze o nim: Im bliżej chcieć tego człowieka określić słowami, tembardziej wymyka się z pod formuły". Może najtrafniej scharakteryzujemy ten typ „sam w sobie doskonały i skończony", mówiąc: Zygmunt Podfilipski, to bańka mydlana lśniąca kolorami tęczy, a wewnątrz pusta; to kawałek zwykłego szkła przez kunsztowne tylko wypolerowanie jako brylant świecący, a w swej wartości tak nieskończenie niższy od nieoszlifowanego dyamentu, jakim w książce p. Weyssenhoffa jest nieokrzesany, ale zacny i pobożny Kołczanowicz. Że taki, a nie inny sąd wyrobiliśmy sobie o głównym bohaterze, zasługą to jest p. Jacka Ligenzy, jako jego biografa; umiał on bowiem na cały żywot Zygmunta Podfilipskiego, zarzucić leciuchną gazę apoteozy i uwielbienia, pod którą najmniej bystre oko czytelnika dojrzy: zawsze wykwintny sarkazm, często palącą ironię. Wszystkie zaś inne pierwszorzędne postaci osób, jakie p. Weyssenhoff do dzieła swego wprowadził i wszystkie ich czyny, rozmowy, zabawy, kipiące życiem, drgające prawdą, pełne ruchu, są jakby jakąś zbiorową antytezą głównego bohatera. W tem właśnie przeciwstawieniu życia i myśli większego grona ludzi, życiu i myślom takiego pana Zygmunta Podfilipskiego, tkwi nietylko wysoki artyzm autora ale i jego religijne, filozoficzne i społeczne „credo". Do najpiękniejszych kart dzieła może najjaśniej tę antytezę uwydatniających, zaliczamy rozdziały: Historya Tomasza, Na łonie rodziny, Falbanka, Biesiada, Około Wielkiejnocy i Miłosierdzie. Już sam Tomasz Podfilipski jest wcieloną antytezą brata swego Zygmunta. Ten kochał jedynie swoje „ja", bo przecież sam był „wyższy ponad wszystko". Tomasz zaś, zapominając o sobie kochał „wszystko i wszystkich". Był charakteru prawego, pełen szlachetnych i pięknych uczuć; wrażliwą swą duszą odczuwał on silnie ten rozdźwięk istniejący zawsze między wymarzonym ideałem a ziemską rzeczywistością; „był poetą w życiu, niepraktycznym idealistą". Sceptyczny pogląd pana Zygmunta na kobietę wogóle spotyka się z gorącym protestem autora, uosobionym w świetnie scharakteryzowanych postaciach kobiecych, pani Wyżewskiej, jej córki Aliny Tomaszowej Podfilipskiej, pani Elizy Kostkowej, a nawet samej pani Anny z Falbów Darnowskiej, lekceważąco przez p. Zygmunta Falbanką nazywanej. Ta Falbanka, ten typ kobiecy w literaturze polskiej zupełnie nowy, jest postacią z życia wziętą, a jej psychologiczna charakterystyka może najbardziej uwidocznia oryginalny i wielki talent autora. Przeciwko panu Zygmuntowi, jako kosmopolicie i jego antinarodowym przekonaniom, stawia autor afirmacyę wręcz przeciwną; w krótkiem zapytaniu księcia Janusza Zbaraskiego, zwróconem do p. Zygmunta: „Czy pan jest Polakiem?" w wymownych słowach brata jego Tomasza, pp. Szreńskiego, Kostki i w pięknych toastach kilku mowców podczas biesiady jubileuszowej. Wreszcie jego nowożytny poganizm i płytka filozofia znajduje zupełne przeciwieństwo w myślach i przekonaniach, polemizującego z nim często Jacka Ligenzy, a szorstką odprawę zacnego Kołczanowicza.

Autor książki, będąc nietylko głębokim psychologiem, ale jak już wspomnieliśmy i wielkim artystą maluje w swem dziele plastyczne prawie obrazy, pełne powietrza, barw, światła i cieni. Prześlicznym bowiem jest opis wschodu słońca na wsi pod koniec lata w obrazku „Na prowincyi", a równie pięknie odtworzone są wrażenia p. Ligenzy z wyścigów w Warszawie, balu u Kostków i podróży do Monte Carlo.

Kończąc sprawozdanie nasze ze znakomitej książki p. Weyssenhoffa, chcemy jeszcze zwrócić uwagę czytelników na klasyczny jej koniec. Biograf ś. p. Zygmunta Podfilipskiego rzuca świetną myśl postawienia głównemu bohaterowi pomnika na jednym z naszych placów „najbardziej europejskim" w kształcie kolumny wyniosłej, ozdobnej, a dźwigającej tylko własny kapitel. Na tym pomniku proponuje położyć napis: „Umiał sobie życie urządzić". Snując tę myśl dalej, zastanawia się nad ewentualną odpowiedzią uczonych, którzy żyjąc w tysiąc lat po nas, spieraliby się z sobą o to: „co znaczyła przed wiekami ta kolumna?" I dochodzi do wniosku, że uczeni odcyfrowawszy napis na kolumnie, domyślą się: że ten pomnik był raczej alegoryą jakiegoś pojęcia, niż osoby. „A że jest dziwaczny i pozbawiony użyteczności, przedstawiał może, jak żyć nie warto". Tę odpowiedź naszych potomnych oświetla jasno sam biograf Ligenza słowami: „Zbliżą się bardzo do prawdy ci uczeni, ale nie zgadną, że kolumna ta symbolizowała za czasów naszych pana Zygmunta Podfilipskiego."

To zakończenie dzieła p. Weyssenhoffa, ta kolumna z tym napisem, ta odpowiedź uczonych i te krótkie, a wiele mówiące słowa biografa: niech otworzą oczy tym wszystkim, co widzą w Jacku Ligenzie bezwzględnego wielbiciela i panegirystę ś. p. Zygmunta Podfilipskiego.

Stach z Przewód.

*) Otrzymaliśmy następujące pismo:

Szanowna Redakcyo!

Wiem dobrze, że *Przegląd* podał już dawno fachową krytykę książki p. Weyssenhoffa. Ze względu jednak na to, że książka ta, tak mało wogóle obudziła zajęcia się nią u nas, i że Ci, co ją czytali, nie wszyscy zgadzają się na jedno, co do zapatrywań i tendencyj jej autora, myślę, że będzie interesującym tematem dla czytelników *Przeglądu*, sąd liczniejszego grona czytelników o książce pana Weyssenhoffa.

Z poważaniem:
Stach z Przewód.

Otrzymawszy ten list, przeczytaliśmy z zajęciem recenzyę dzieła p. Weyssenhoffa, napisaną przez p. Stacha z Przewód i umieszczamy ją tem chętniej, że napisana jest wytrawnie, rozumnie, z tendencyą szlachetną i wreszcie, że w zupełności z nią się zgadzamy.

Redakcya Przeglądu.

List do Redakcyi.

(*W sprawie utrzymania parobków wiejskich.*)

Wielmożny Panie Redaktorze!

Uwagi p. Puzyny i p. brata szlachcica w sprawie odżywiania parobków dworskich tak mnie zirytowały, że chociaż nigdy do gazet nie pisuję, uważam za stosowne zabrać także głos w tej sprawie. Mam i ja na punkcie parobków wiejskich pewne doświadczenia. Ich niewdzięczność, krnąbrność i próżniactwo tak mi się dały we znaki, że nie chcąc mieć z nimi kłopotu, wydzierżawiłem należącą do mojej plebanii ziemię i zostawiłem sobie tylko 52 morgów ornego pola i 3 morgi ogrodu, aby módz trzymać dla własnej potrzeby krowy itp. i ażeby przez zajmowanie się gospodarstwem zachować zdrowie w krzepkim stanie.

Czeladź nasza na Podolu składa się w największej części z prawdziwych lazzaronów. Jest tu zwyczaj, że włościanin, który ma 4 morgi pola, a nie ma syna, trzyma sobie chłopca, bogatsi mają po kilku takich chłopców w domu. Tacy chłopcy mniej więcej z końcem października, kiedy ważniejsze roboty w polu już się skończą, wstępują do służby we dworze lub u księdza. Ale gdy zimno zaczyna dokuczać, trudno trzymać obdartusa, a takimi oni zwykle bywają, daje się im więc naprzód 10 zł. na pierwsze potrzeby. Na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, na Zielone święta, znowu się im daje na to lub na owo, tak, że taki parobczak zgodzony za 36 zł. rocznie, wybiera z góry zaliczkami swą płacę, a potem nagle w lipcu, kiedy najgorętsza robota, gdzieś znika. Wałęsa się on wtedy od wsi do wsi, szukając dobrego zarobku przy żniwach; a o chlebodawcy zapomina. Gdy się wtedy udać do wójta z prośbą, by uciekiniera sprowadził, wójt go wprawdzie może po tygodniu odszuka lecz powiada: „Win ne chocze ity, szczo budu sia z nim byty?" Podaje się więc do Starostwa, lecz ono, gdy się energicznie weźmie do rzeczy, to żandarm przyprowadzi zbiegłego parobka dopiero w połowie listopada.

Patrzę co dzień, jak się czeladzi we dworze dzieje i widzę, że bardzo dobrze. Mają wszystkiego podostatkiem, a gdy który z nich zachoruje, chlebodawca posyła do miasta po lekarza, płaci mu 5 zł. za wizytę, musi przytem dać furę tam i napowrót, która kosztuje co najmniej 2 zł., a nadto jeszcze koszta za leki ponosi. To też nic dziwnego, że są ludzie, którzy w dworskiej służbie już po 28 lat pozostają. Lecz jakaż za to wdzięczność? Oto gdy doszła tu wieść o scenach dawidowskich, furman tutejszego dzierżawcy, który już u niego 24 lat służy i domek sobie za zarobione pieniądze kupił w miasteczku, tak mówił do innych chłopów: „Oj zdałoby sia z panamy poriadok zrobyty". To nie dawna życzliwa służba, lecz płacone wrogi. Ale żeby byli chociaż pracowici! Wszak mają 100 dni świątecznych i niedzielnych w roku, bo liczą i polskie i ruskie święta, zatem pozostaje tylko 265 dni pracy, a i z tych odpada z 30 dni na chrzciny, wesela, pogrzeby i prażniki. Lecz i przez te 235 dni nie pracują szczerze, bo co jeden robotnik to jeden nastawnik, tak to ich trzeba pilnować.

Niech p. Puzyna i p. brat szlachcic przybędą tu na Podole i gospodarzą tu bodaj z rok, a ręczę, że ich zapatrywania na kwestyę odżywiania parobków wiejskich gruntownie się zmienią.

Z poważaniem
ksiądz, który 49 lat jest na parafii.

Kościoły przed szpitalami!

Czytając sprawozdanie z przebiegu posiedzenia Rady państwa z dnia 28 października b. r. natknąłem się na pewnik p. Daszyńskiego „że lepiej budować szpitale i szkoły, aniżeli kościoły." Nigdy nie myślałem wyjeżdżać z p. Daszyńskim na harce, ale usłyszawszy wystrzał taki, a właśnie restauracyą kościoła będąc zajęty, uczułem się w zapędzie gwałtownie wstrzymanym, i począłem rozważać, czy istotnie nie lepiej przerobić kościół na szpital, zwłaszcza, że jak widzimy, warytów przybywa, a i wiedeński zadżumiony szczur, kto wie dokąd szelma „powietrze niesie" drapnąwszy z klatki!...

Wobec jednak faktu, że w jednym z przedmiejskich szpitali we Lwowie jest na raz zie kilka miejsc wolnych, a ów Wiedeński zadżumiony kolei do Turki nie prędko się doczeka, — zostałem przy pierwotnym zamiarze. Twierdzę bowiem na przekór p. Daszyńskiemu, że społeczeństwo wznoszące nowe kościoły, restaurując stare, słowem zwiększając ich liczbę, zmniejsza potrzebę szpitali, bo ratuje tysiące przed najzajadliwszemi chorobami i kalectwem, a więc oszczędza sobie wydatków na obsłużenie szpitali, że przeto, jeśli nie lepiej to równie dobrze robi stawiając świątynie Pańskie Nie przeczy nikt, że w każdym czasie i wszędzie szpitale były i są potrzebne, owszem, każdy przyznać musi, że ich wydoskonalenie zawsze będzie cechą prawdziwego postępu i że są one wynalazkiem zaszczytnym dla ludzkości i absolutnie dobrym. Przyznać jednak potrzeba, że nienaturalne dzisiejsze przepełnienie tych zakładów, o ile pochodzi z przyczyny rozpusty i pijaństwa, jest objawem nie pocieszającym. Faktem jest statystycznie stwierdzonym, że niemoralność i alkoholizm, dwa źródła główne chorób najliczniejszych i najzjadliwszych, wezbrały w prostym stosunku do bezreligijności i w tym samym stosunku rośnie potrzeba szpitali. Paryż, nowożytny Babilon, siedziba najpowszechniejszych lóż masońskich, liczbą szpitali wenerycznych przenosi ludniejszy od siebie Londyn, ale też życiem rozpasanem usprawiedliwia swą nazwę.

Ogólnie mówiąc, idealne w tej kwestyi sprowadziłby stosunki, ktoby zatamował rozlewającą się dziś w najstraszliwszych i najdalszych kręgach wśród społeczeństw rozpustę i karczemnym duchem odziewający ludzkość alkoholism; wymiótłby bowiem z najliczniejszych dziś oddziałów szpitalnych najobydniejszy gatunek chorób wenerycznych, usunąłby domy podrzutków, zmniejszył liczbę dzieciobójczyń, zachowałby społeczeństwo przed haniebnym upadkiem; wzmocniłby zdegenerowane, nerwowe pokolenia, byłby zbawcą Ojczyzny! Rozpusta pakuje masami swych zwolenników do szpitali, odbiera im rozum i bystrość; rozpusta pozbawia ludzkość wielu geniuszów; rozpusta wstrzymuje rozkwit fizyczny narodów, tamuje postęp; z niej suchoty, z niej obłąkanie, z niej starość rychła i śmierć przedwczesna. To wszystko dowiedzione! Alkoholizm zaś zdławić, to dziś znaczy otrzeźwić ludzkość pijaną Kto i czego dziś nie pije?! A jakież dotąd sukcesy odniosły kuratorye trzeźwości, ustawy o pijaństwie, odezwy popularne, słowem zabiegi społeczeństwa o swoje wytrzeźwienie? Żadne, lub bardzo mało znaczne. I nic dziwnego, gdyż tylko Kościół może skuteczne umoralniać, tylko Kościół jest warownią trzeźwości. Istnieją w nim bractwa wstrzemięźliwości, w których człowiek omotany nałogiem pijaństwa znajduje bezpieczną przystań i umocnienie duchowe, zachętę i pochwałę ojca duchownego, dobry przykład trzeźwych współbraci, ich życzliwą przestrogę lub upomnienie. W kościele to woła się ustawicznie: „bracia trzeźwymi bądźcie a czujcie, bo nieprzyjaciel wasz dyabeł jako lew ryczący krąży szukając, kogoby pożarł" (1 Piotr 5 8). W kościele kapłan wykłada o nieszczęsnych skutkach pijaństwa, a wskazuje smaczne owoce trzeźwości. Przy każdym kościele jest przynajmniej jeden, zawsze życzliwy ludowi kapłan, który od karczmy odwodzi, a grożąc karą Boską i ludzką, dąży wraz z całym Kościołem do utrzymania ludu w trzeźwości która jest podwaliną dobrobytu. Ilu kapłan wyleczy z alkoholizmu, tylu zaasekurował w bezpłatnem towarzystwie przed nagłą śmiercią, suchotami, wycieńczeniem, zwapnieniem żył, delirium i t. p. nędzami! Dla tych prawdopodobnie nie będzie potrzeba szpitala!

Przed szpitalami więc budujmy kościoły, a uzdrowimy społeczeństwo! Restaurujmy obdarte świątynie, ozdabiajmy je z przepychem, uczęszczajmy do nich, tak, panie Ignacy, nie strońmy od nich, a ulżymy pracy lekarzom, ciężarów budżetom. Stawiajmy kościoły po przedmieściach i siołach. Zrestaurujmy wspólnymi siłami kościół w Turce koło Chyrowa, która jest moralnie tak biedną parafią, że odezwy komitetu restauracyjnego krwawymi łzami powinny być wypisane. Przeszło 300 karczem w jednej parafii, a na 84 miejscowości tę parafię tworzących jest tylko 12 szkół czynnych, kościółek jeden tak, że dalsi parafianie całe lata Mszy św. ani nauki nie słyszą. Pijaństwo, rozpusta, nędza nie do opisania. Oto obraz turczańskiej parafii, szerokiej na powiat cały, mającej za kościół zrujnowaną, bezkształtną ruderę. Nam tu trzeba świątyni wspaniałej, nie na przechwałki, nie dla dekoracyi, ale aby jej urokiem ściągnąć o 4 i 5 mil odległych parafian, aby ich dźwignąć do Boga. Nam trzeba twierdzy, by się ostrzeliwać! Czemże utrzymamy byt nasz narodowy i rodzinny obrządek, my wśród 54 000 Rusinów w takiej rozprószeni mniejszości? Jedynie pokarmem ssanym z piersi Matki Kościoła! A ta matka ach, jak obtargana! Fotografia jej na odezwach komitetu odbita, zewnętrzną jej nagość zaledwie rysuje; wewnątrz tej świątyni można tylko płakać! Własnemi siłami nie możemy jej zrestaurować, bo gdzie parafianie tak ubodzy, że przez 20 lat nie można było z nich trzech tysięcy na plebanię wydobyć, tam o zebraniu 17.000 mowy być nie może. W Bogu tylko nasza nadzieja i w duszach dla Niego wylanych. Ktokolwiek nam przyszle choćby najmniejszą na kościół ofiarę, po wieczne czasy będzie miał udział we Mszach św. corocznie za dobrodziejów odprawianych. Ktoby zaś z pośród patryotycznie i filantropijnie usposobionych Braci Rodaków umożliwił nam zebranie 17.000 zł. ofiarowaniem naszemu kościołowi większej kwoty, może już z góry przeznaczonej na podobne cele, uzyska wszystkie prawa przysługujące fundatorom i dobrodziejom kościoła, unieśmiertelni się w ludzkiej pamięci, zapewni sobie wieczyste Msze św., zbawcą będzie dusz tysięcy!

Nie rzucajcie, Rodacy, odezw naszych do kosza, ale drobnemi cegiełkami podnieście kościół upadający!

Niech socyaliści wznoszą szpitale na gruzach kościołów.... Któż je godnie obsłuży, gdy wprzód kościół nie wypielęgnuje w duszach poświęcenia? *Ks. Józef Dziedzic*
skarbnik komitetu kościel. w Turce.

Z izby sądowej.

Lwów, 28 listopada.

(*Malwersacya w gminie*).

Przed sądem przysięgłych stanęli dzisiaj Mikołaj Bruch, były wójt gminy Dobrosina w pow. żółkiewskim i Józef Doda, pisarz gminny, obaj pod zarzutem przywłaszczania sobie powierzonych im funduszów gminnych. W czasie wójtostwa Brucha w Dobrosinie od r. 1892 do 1897 zdefraudowali oni około 470 zł. Wójt chował do swojej kieszeni dodatki gminne, dochody z obligacyi gminnych, dochody objęte funduszem szkolnym i t. p., słowem wszystkie dochody wprost przez urząd podatkowy ściągane, a następnie gminie naraz wypłacane, pisarz obławiał się należytościami za pastwisko gminne, za spaśne, za paszporty bydlęce i za prestacye drogowe. Malwersacye zatuszowywano w ten sposób, że nie wciągano systematycznie niektórych dochodów do dziennika kasowego, wpisywano je w niższej wysokości, wydatków nie usprawiedliwiano kwitami lub obliczano je wyżej niż było w istocie potrzeba, a w rozchody wciągano także wydatki sfingowane. Za zdefraudowane pieniądze kupił sobie wójt 2 morgi pola, a Doda zbudował sobie chałupę.

Na początku w inkasowaniu dochodów gminnych wykrył najprzód w roku 1895 lustrator żółkiewskiego wydziału powiatowego p. Grochowski. Rozkazał on usunąć Dodę z urzędu, a wójtowi dodał do boku jako dwóch kasyerów, dwóch uczciwych ludzi, Gałana i Pałtykę. Spodziewano się że wójt z czasem pokryje deficyt kasowy. Lecz po odjeździe lustratora Bruch skasował Gałana i Pałtykę i zaczął znowu po swojemu gospodarować z Dodą Gdy w roku 1897 pokazało się, że deficyt wzmógł się jeszcze bardziej, uwięziono obu nieuczciwych urzędników gminy. Przyznali się oni przed radą gminną i lustratorem częściowo do winy, potem jednak zwalali winę jeden na drugiego.

Jest to w tym roku druga tego rodzaju sprawa, sądzona przez sędziów przysięgłych, w obu wypadkach głównym obwinionym jest wójt, który nie umie ani czytać ani pisać.

Rozprawie przewodniczy p. radca Bortnik, oskarża prokurator p. Barth, bronią dr. Sumper i dr. Horowitz.

Rozprawa potrwa dwa dni.

Kronika.

Lwów 28 listopada.

Napad na karczmę. W Horodyszczu cetnarskiem koło Chodorowa (w pow. bobreckim) napadła w sobotę wieczorem liczna gromada chłopów na karczmę tamtejszego szynkarza. Pięciu żydów okropnie pokaleczono, wszystkie sprzęty zniszczono lub zabrano, skradziono przy tej sposobności 80 zł. Spustoszywszy karczmę, podpalili ją napastnicy, lecz szczęściem ogień ugaszono. Komisarz starostwa przybywszy z żandarmami, aresztował 8 chłopów. Dochodzenie karne jest w toku.

Jerzy Brandes po serdecznych przyjęciach, jakie mu zgotowali rozmaici obywatele naszego grodu, między innymi Zdzisławowie Marchwiccy, Władysławowie Łozińscy, Wacławowie Wolscy, i marszałkowie Badeniowie, odjechał wczoraj wieczornym pociągiem wprost do Kopenhagi, otrzymawszy telegram o niepomyślnym stanie zdrowia swojej sędziwej matki. Liczna drużyna literacka żegnała sympatycznego duńskiego gościa na dworcu, a prof dr. Balasits jako wiceprezes Koła literackiego, na którego zaproszenie Brandes przybył do Lwowa, przemówił do niego na pożegnanie w te słowa:

„Żegnaj nam drogi Panie! wracaj do swoich i przybądź znowu kiedyś do twoich polskich przyjaciół we Lwowie. Wiesz dobrze, że (z przyczyn wiadomych) myśmy w wyborze naszych przyjaciół bardzo ostrożni i niezwykle wybredni, może więcej wybredni aniżeli tego nieraz polityka od nas wymaga. My się też poprzód dokładnie przekonali, czy nam wolno dłoń podaną z całem przyjąć zaufaniem i uściskiem bratnim za objawioną przychylność podziękować. Możemy cię zapewnić, że w czasie twego u nas pobytu przyjaźń nasza tylko się spotęgowała i że odtąd cześć i wdzięczność dla ciebie nigdy w sercach naszych nie wygasną. Ale oczywiście ta przyjaźń po naszej stronie byłaby chyba nieco dziwaczną i bardzo nierozsądną, gdybyśmy w jej imieniu żądali od syna Danii, aby służył obcej ojczyźnie jak swojej, aby ideą polską przyjmował bez wszelkich zastrzeżeń, kochał polskie ideały jak swoje narodowe, aby się zgadzał ze wszystkiem, co robimy, mówimy, lub piszemy. Przyrzekamy tobie, że naszego przywiązania do twojej osoby żaden brutalny zamach nie wzruszy, złość żadna nie popsuje. Z temi uczuciami i z takiem postanowieniem wołamy: Jerzy Brandes niech żyje!"

Słynny skrzypek Fritz Kreisler powracając z Warszawy, zatrzyma się jeden dzień we Lwowie i dnia 3 grudnia weźmie udział w koncercie na cel dobroczynne. Czwartego grudnia artysta grać będzie w Przemyślu, dnia następnego w Stanisławowie, stamtąd wybiera się na koncert do Czerniowiec i przejeżdzie do Rumunii. Prof. Neuhauser towarzyszyć będzie artyście w tej wycieczce koncertowej do granicy Galicyi.

Wiadomości urzędowe. Cesarz zatwierdził wybór p. Karola Czecza, właściciela dóbr Bieżanowa i Pleszowa na prezesa Rady powiatowej w Wieliczce.

Starosta Ignacy Korzeniowski, został mianowany radcą namiestnictwa we Lwowie.

Konkursa rozpisują: Dyrekcya poczt we Lwowie na posadę ekspedyenta w Turylczu w pow. borszczowskim za kaucyą 200 zł. Pobory 370 zł. Termin do 8 grudnia. — Prezydyum sądu obw. w Nowym Sączu na posadę woźnego w Limanowej, a prezydyum sądu obwodowego w Jaśle na tę samę posadę w Krośnie z poborami 312 zł. 50 ct. i umundurowaniem. Termin do 29 grudnia. — Przełożeństwo wyznaniowe gminy izraelickiej w Pruchniku na posadę rabina i jego zastępcy. Płaca stała 400 zł.

Wiadomości dyecezyalne. Dyecezya przemyska. Kanonicznie instytuowany na probostwo w Dubiecku ks. Michał Górnicki wikary z Jarosławia. Przeniesiony w charakterze wikarego do Jarosławia ks. Stefan Fus, administrator w Dubiecku.

Bankiet na cześć twórcy pomnika Sobieskiego p. Barącza, urządzony staraniem lwowskich kolegów artysty zgromadził w sobotę w Kole literacko-artystycznem około 40 osób. Do stołów zasiedli reprezentanci prasy, prezes Koła dr. Balasits, dr. Sieper, artysta-malarz z Paryża p. Słupski i prawie wszyscy mieszkający we Lwowie malarze i rzeźbiarze. Szereg toastów rozpoczął p. Styka, wznosząc kielich za zdrowie p. Barącza. Potem to samo zdrowie pili pp. Młodnicki, Kostecki, dr. Balasits, Gerasimowicz i inni, a p. Barącz kilkakrotnie dziękował. Oprócz tego wznoszono toasty na cześć sztuki i koleżeństwa w tutejszej kolonii artystycznej. W przemówieniach tych, nastrojonych wedle usposobień i temperamentów mówców, to na smętną nutę, to na weselszą nutę, wydobywała się na czoło myśl o potrzebie większej niż dotąd łączności między lwowskimi artystami, ku wspólnemu dobru ich i publiczności, która z pracy ich korzysta. Podnoszono więc myśl założenia wspólnego ogniska, w którem skupialiby się mieszkający we Lwowie artyści, występując korporatywnie, mogli mieć większy niż dotąd wpływ w mieście i wiele prac przeznaczonych dla Lwowa a wykonywanych po za jego murami zdobywali wyłącznie dla siebie. Toastem „Kochajmy się!" uzupełnionym przez p. Reichana słowy „Szanujmy się" zakończono toasty, poczem nastąpiła pogadanka, przeplatana improwizowanymi produkcyami w deklamacyi, śpiewie i grze na fortepianie. Około drugiej w nocy opuścili uczestnicy bankietu salony Koła, unosząc ze sobą wspomnienie chwil bardzo mile spędzonych i sformułowanej już wyraźnie myśli łączenia się „wszystkich dla wszystkich".

Dramat miłosny. Z Kamionki Strumiłowej donoszą: Jakób Turek, foryś podpułkownika ..., pokłóciwszy się ze służącą swego pana, strzelił do niej dwa razy z rewolweru i zranił ją niebezpiecznie w plecy. Na odgłos strzału zbiegli się sąsiedzi i żandarmi, ale Turek stanął przy otwartem oknie i groził im nabitym rewolwerem. Przez długi czas nie można było ująć zbrodniarza, dopiero żandarm zaszedłszy z boku, silnem uderzeniem wytrącił mu rewolwer z ręki, poczem przy pomocy trzech ułanów odstawiono zbrodniarza do aresztów sądowych. Stan służącej groźny, kuli na razie nie wyjęto.

Czytelnia katolicka zapowiada na wtorek 29 listopada b. r. odczyt księdza prałata Jana Gwiazdomorskiego pt. „Młodość Rafaela". Początek o godzinie 7 wieczorem. Wstęp dla pań i panów wprowadzonych przez członków wolny.

Najwięcej orderów na świecie posiada ochmistrz dworu Wilhelma II, hrabia August Eulenburg, ma już bowiem dotąd 63 orderów. Bismarck przez całe życie swe zdobył tylko 54, a Moltke tylko 44 krzyżów i orderów.

Operę „Cyrano de Bergerac" zamierza stworzyć Mascagni. W tym celu stara się, by Rostand sam dokonał dramatycznego przekształcenia swego dzieła na libretto opery.

Kontrakty kupna i sprzedaży realności we Lwowie zawarto w październiku następujące: Izabela Krzysztofowicz kupiła od Zygmunta Motylewskiego realność przy ul. Mochnackiego l. 14 za 27.625 zł.; Ludwika Dydyńska od Władysława Webera realność przy ul. Mikołaja l. 14 za 31.250 zł.; Teresa Amałowicz od Szymona Weppera realność w I dzielnicy za 20.600 zł.; Bronisław Bau... od dra Emila Wechslera dwie realności w drugiej dzielnicy za 22.640 zł.; Herman Fleischer od Franciszka i W. Wiesnera realność przy ul. Batorego l. 22 za 30.000 zł.; Franciszek i W. Wiesner od Hermana Fleischera dwie realności w dzielnicy II za 33.500 zł.; Laura Beiser od Andrzeja Gołąba realność przy ul. Łyczakowskiej l. 39 za 24 600 zł.; Władysław Niemeksza od Mikołaja Puczka realność w dzielnicy I za 10.370 zł.; skarb Państwa od Krystyny Kruk realności przy ul. Mochnackiego l. 5 i 7 za 29.650 zł.; dr. Jan Rucker od Henryka Ruckera realność w śródmieściu za 70.000 zł.; Karolina Dulęba od dra Stanisława Bielińskiego realność w dzielnicy I za 14 625 zł.; Antonina Betredits od Ignacego Kugiela realność w dzielnicy II za 30.000 zł.

„Obrona ludu", dwutygodnik, organ dr. Danielaka i. ks. Szpondra rozpoczął wychodzić w Krakowie i będzie zwalczał ks. Stojałowskiego i jego pisemka.

Otwarcie Czytelni. Staraniem Koła akademickiego „Towarzystwa Szkoły ludowej" otwartą została wczoraj czytelnia dla włościan w Rzęśni polskiej pod Lwowem. Ciepłemi słowy zagaił otwarcie czytelni delegat Koła p. Kazimierz Stroka, a miejscowy kierownik szkoły p. Fiala, zachęciwszy licznie zgromadzonych gospodarzy pięknem przemówieniem do korzystania z czytelni, zajął się wraz z nauczycielką p. Kotikową wypożyczaniem książek.

Proces Stojałowskiego przeciw ks. Sapieże. Na sobotniem posiedzeniu Izby panów przeprowadzono poufną naradę nad sprawą wydania księcia Sapiehy sądowi z powodu, iż ks. Stojałowski wytoczył mu proces za artykuł w *Dzienniku polskim* o konszachtach Stojałowskiego z Brokiem. Izba panów sprawy tej nie odrzuciła, lecz poruczyła ją komisyi prawniczej do zbadania i orzeczenia. Na posiedzeniu tem był obecnym także książę Sapieha wręcz prosił, ażeby Izba wydała go sądowi.

Rewizya kolei Borszczów-Iwanie puste. Donoszą nam z Iwania: W sobotę o godz 11 przed południem przybył tutaj pociąg z techniczno-policyjną komisyą dla rewizyi nowo wybudowanej linii kolei lokalnej Borszczów-Iwanie puste. W skła...

komisyi wchodzą inspektorowie generalnej inspekcyi Michałowski i Rybicki, starosta Mühlner, podinspektorowie kolei Szukiewicz i Kosiński, inspektor Steizer i inni. Komisya uznała linię Boreszczów-Iwanie puste za znakomicie wykończoną i dała jednogłośnie pozwolenie na natychmiastowe otwarcie ruchu tego ostatniego fragmentu dwieście kilometrów długiej sieci wschodnio-galicyjskich kolei lokalnych, co też pierwszego grudnia b. r. nastąpi. Hrabia Michał Baworowski w Germakówce podejmował członków komisyi u siebie obiadem.

Rzeźbiarze lwowscy w kłopocie. We czwartek o godzinie dwunastej w południe upływa termin do nadsyłania projektów na pomnik Mickiewicza, mający stanąć we Lwowie. Rozpisując konkurs, podał komitet jako adres, pod którym należy odsyłać projekty, adres „Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych". Tymczasem teraz oświadcza Towarzystwo, że projektów przyjmować nie może, bo nie ma miejsca z powodu wystawy obrazu Siemiradzkiego „Dirce chrześcijańska", i każe się z projektami udawać do skarbnika komitetu p. Zielińskiego. Ponieważ projekty na pomnik wykonane w przepisanych konkursem rozmiarach, są duże i ważą po centnarze przynajmniej, więc rzeźbiarze tutejsi narażeni są na dość znaczne koszta podwójnej przesyłki, a zatem słuszną jest ich obawa, że p. Zielińskiemu może zabraknąć miejsca, jeżeli tych projektów zbierze się trzydzieści albo czterdzieści. Niebezpieczeństwo jest tem większe, że termin jest już bardzo bliskim i może się trafić, że któryś z rzeźbiarzy, który w ostatniej chwili skończy pracę i nie wiedząc o niczem, bo ze względu na tajemnicę konkursową nie pytał się o nic się nie udając, stanie z nim do konkursu, przyjdzie do „Towarzystwa". Tam mu każą projekt odesłać do p. Zielińskiego, a gdy i tam miejsca w ostatniej chwili zabraknie, cała praca łatwo pójdzie na marne. Koniecznem jest więc, aby komitet zawczasu ogłosił gdzie projekty odsyłać należy tak, aby każdy z zamiejscowych konkurentów wiedział gdzie się ma udać i nie musiał w ostatniej chwili dopiero nosić się ze swoim projektem z miejsca na miejsce, narażać na koszta i ewentualne spóźnienie, a równocześnie doprowadzenie się, tamże istotny warunek konkursu tj. tajność.

Nagły zgon artystki. W Warszawie zmarła tymi dniami po kilkugodzinnej zaledwie chorobie Aleksandra Rakiewiczowa, pierwsza tragiczka warszawskiej sceny. Jeszcze we czwartek występowała w „Taberytach" St. Kozłowskiego. W akcie drugim nagle zachwiała się, znajdujący się na scenie artyści zaledwie ją podtrzymali i wyprowadzili za kulisy, gdzie z pomocą pośpieszyli lekarze. Tymczasem reżyser Ładnowski usiłował ratować widowisko, którego jednak dokończyć było trudno, gdyż nagła choroba Rakiewiczowej wszystkich artystów mocno zatrwożyła. Wkrótce nieboszczkę Rakiewiczową pogotowie ratunkowe odwiozło do domu, gdzie zakończyła życie, nie odzyskawszy przytomności. Sp. Aleksandra Rakiewiczowa była córką zasłużonego artysty teatru krakowskiego, Aleksandra Ładnowskiego. Urodziła w Płocku w r. 1838, już w roku 1853 wystąpiła po raz pierwszy w teatrze krakowskim i odrazu zdobyła pełne uznanie. W roku 1858 przeniosła się na scenę warszawską, gdzie jednakże początkowo wystawiono tylko sztuki pokroju lżejszego. Znakomita tragiczka grywała więc role bohaterskie w dramatach i tragedyach Szekspira, Szyllera i Słowackiego, jak lady Macbeth, Marya Stuart, Drahomira itd., tylko na występach gościnnych w Krakowie i Poznaniu. W ostatnich latach objęła wydział ról matek bohaterskich. Sp. Rakiewiczowa poślubiła architekta Rakiewicza i pozostawiła sześcioro dzieci. Cenioną była wysoko nietylko jako znakomita artystka, ale także jako kobieta, jako dobra żona i troskliwa matka.

W „Lutni" wybrano na nowy rok administracyjny następujący wydział: Prezesem wybrany prof. dr. August Balasits, pierwszym wiceprezesem dr. Karol Czerny, drugim radca sądu krajowego dr. Alfred Bandrowski. Dyrektorem pozostał p. Stanisław Ostwiński, zastępcą jego znany zaszczytnie muzyk prof. Mieczysław Sołtys; sekretarzem wybrany p. Walery Włodzimirski.

Na sarkofagu Mickiewicza w Krakowie złożył wczoraj p. radca Trzaskowski imieniem Towarzystwa pedagogicznego srebrny wieniec. Grono członków Towarzystwa, które udało się do krypty mickiewiczowskiej na Wawelu po złożeniu wieńca odmówiło modlitwę za duszę wieszcza, którego 43 cia rocznica zgonu przypadała właśnie na dzień wczorajszy. Wieniec przechowany zostanie w Muzeum narodowem.

Otwarcie kliniki okulistycznej odbywa się dziś w Krakowie. Na uroczystości otwarcia przemawiać będą: książę-biskup Puzyna, namiestnik hr. Piniński, który przybył wczoraj wieczór do Krakowa, dalej rektor uniwersytetu Jagiellońskiego dr. Kleczyński i dyrektor nowej kliniki prof. dr. Wicherkiewicz. Gmach kliniki okulistycznej jest piętrowy i kosztował 140.000 złr., z czego na wewnętrzne urządzenie przypada 29.000 złr. Zaopatrzony jest w najnowsze środki sanitarne i oświetlenie posiada elektryczne. Mieści się na ul. Kopernika, tuż za kliniką chirurgiczną.

Nagroda cnoty. Akademia francuska corocznie odbywa sympatyczną uroczystość rozdania nagród imienia Montyona za cnotę. Gdy sala zapełni się publicznością najwspanialszą i najmniej zdolną do rozpoznawania cnoty usposobioną, najwymowniejszy akademik wygłasza w swych przemówieniach mowę „pochwalną". Onegdaj odbyła się taka właśnie uroczystość, a „pochwałę" obowiązkową wygłosił najwytworniejszy pisarz egzotyczny, Pierre Loti. Na czele nagrodzonych w r. b. za cnotę przez akademię znajdujemy kapłana, O. Józefa, z zakonu Barnabitów. W roku 1870-tym, gdy wybuchła wojna francusko-niemiecka, Ojciec Józef, który oddawał się czynom miłosierdzia w małej parafii genewskiej, uczuł powołanie do objęcia obowiązków kapelana w armii. Pozwolenie otrzymał i udał się z jednym z pułków na granicę alzacką. Zamknięty wraz z pułkiem w Strassburgu, dni i noce spędzał na posługiwaniu rannym, nie oszczędzał się na krok od rannych i konających żołnierzy. Przy końcu oblężenia za waleczność zawieszono mu na piersi order Legii honorowej. Po kapitulacyi Strassburga O. Józef poszedł do niewoli wraz z wojskiem a choć jenerał niemiecki chciał go uwolnić, odmówił i pozostał w niewoli, aby krzepić podupadłych na duchu rodaków. Poświęcenie obudziło we władzach pruskich podejrzenie. A może ten ksiądz bohaterski chce podburzać? Więc osadzono go w Rastadzie, dokąd wprowadził arcybiskup fryburski nie ożenił go swojem świadectwem.

— Chcesz iść na śmierć? — zapytał dostojnik kościoła — — W Ulmie szerzy się gwałtownie tyfus.

— Tak, na tę chorobę, a nie masz księdza francuskiego na pociechę umierających.

I O. Józef poszedł do Ulmu. Spędził tam dziewięć miesięcy, a przez cały ten czas śmierć krążyła nad nim. Nędza wśród chorego żołnierstwa była przerażająca. Więc O. Józef zaczął sprowadzać z Francyi odzież, wyżywienie, pościel, żywność, nawet i tytoń z pomocą krótkich listów dla chorych. Na wezwanie jego kapłana, ofiary spływały się z rogu obfitości, tak, że w czasie jednej zimy nadeszło do Ulm w gotówce i ofiarach przeszło 300.000 franków. Cnota tego kapłana jaśniała tak bardzo, że Niemcy sami skłonili przed nim głowę, a rząd niemiecki ozdobił pierś kapłana francuskiego orderem Orła czarnego! Przyjęcia orderu odmówił, a w zamian za to prosił cesarzowę Augustę o audyencyę. Cesarzowa dała mu posłuchanie i ten cichy kapłan dokonał tego, czego dokonać nie mogli mocarze tego świata i potężni dyplomaci: wszystkich zarażonych przez tyfus więźni z Ulmu oddano natychmiast do Francyi. Dziesięć pociągów kolejowych odwiozło żołnierzy francuskich na spustoszoną przez wojsko granicę.

Po skończonej wojnie O. Józef powrócił do swojej małej parafii genewskiej, gdzie poświęcił żywot swój sierotom i dzieciom zbłąkanym. Trwało to póty, póki nietolerancya religijna nie wypędziła go z ziemi szwajcarskiej. Wówczas kapłan udał się znowu do ojczyzny francuskiej i zebrawszy 30.000 franków, założył na granicy francuskiej, w pobliżu granicy szwajcarskiej, schronienie dla sierót, które przygarnął był poprzednio w Genewie. Był to prawdziwy przytułek dzieci ubogich, bo na utrzymanie zakładu O. Józef nie miał żadnych funduszów. Wszystko co potrzeba było dla 150 dzieci, wyżebrał, wszystko wyprosił, wędrując od wioski do wioski, od miasta do miasta. Setki sierót, które miały ginąć w błocie wielkomiejskiem, wyszły na ludzi dzięki nieśmiertelnej energii tego człowieka dobrej woli i ofiarnego serca.

Oprócz O. Józefa, który otrzymane 2000 fr. nagrody Montyona zdążył wydać na potrzeby swego przytułku, nagrodę za cnotę otrzymało: kilka służących, paru starych służących, pielęgnujących swoich dawnych pracodawców w nędzy i chorobie, jakiś marynarz normandzki, który uratował setkę tonących z wody, jakieś ubogie małżeństwo robotnicze, które 4 drobnych osieroconych dzieci wychowania się podjęło.

Nagrody za cnotę rozdawane są w Akademii francuskiej jednocześnie z nagrodami za prace literackie, z funduszów zapisanych Akademii przez różnych ofiarodawców. Między innemi nagrodę imienia Marcelego Guérin, 2000 fr. otrzymał rodak nasz Teodor de Wyzewa (Wyżewski) za dzieło pt. „Ecrivains étrangers".

Człowiek poświęcenia. O. Jan Beyzym, dobrze znany i z wdzięczną pamięcią wspominany przez swoich uczniów w konwikcie tarnopolskim i chyrowskim, w dniu 10 listopada b. r. wyjechał z Marsylii do Madagaskaru, aby poświęcić się trędowatym. Adres do niego: Rev. Pére Beyzym. Missionaire Catholique Romain à Tananarive. Madagascar via Suez.

Wiek lokomotywy. Zdawałoby się, iż tak potężna maszyna, jak lokomotywa, powinna być trwałą bardzo długo, a jednak tak nie jest. Jak wykazują dane statystyczne, ogłoszone świeżo przez jedną z angielskich fabryk parowozów, lokomotywa, choćby najstaranniej zbudowana, nie może przebiedz więcej nad pół miliona mil angielskich. Oczywiście, zanim parowóz tej cyfry dosięgnie, muszą być niejednokrotnie zmieniane oddzielne części maszyny, jak np. piec trzykrotnie, bandaże na kołach pięcio lub sześciokrotnie, trzpienie i kształt siedmiokrotnie. Po przebieżeniu pół miliona mil angielskich, lokomotywa jest już tak zużyta, że dalsze reparacye nie opłacają się.

Królowa belgijska wystosowała do swoich siostrzyc ukoronowanych na tronach okólnik, wzywający do popierania ręcznego przemysłu koronczarskiego. Idzie o to, aby na dworach nie używano imitacyi koronek, właściwie koronek maszynowych, tak do sukien, jak do bielizny, wyłącznie używać prawdziwych koronek, wykonywanych ręcznie, maszyna bowiem zabija ręczny, a więc artystyczny przemysł koronczarski. Od r. 1851 po liczba koronczarek we Francyi i Belgii zmniejszyła się o 40.000.

Zmarli. W Podzameczku koło Buczacza, Jan Władysław Weroszyński, dziedzic dóbr ziemskich, żołnierz wojsk polskich z r. 1863 i długoletni prezes Towarzystwa wzajemnej pomocy urzędników prywatnych obwodu tarnopolskiego, lat 58. — W Sądowej Wiszni, Adam Krahl, Doktor praw, c. k. adjunkt sądowy, lat 24. — W Przemyślu Kazimierz Monne, zastępca prokuratora państwa, lat 40. — W Stanisławowie, Rajmund Ponak, urzędnik kolei państwowej, były kapitan 40 pp., lat 39. — We Lwowie: Dr. Kajetan Naremrose, adwokat krajowy, poprzednio w Stanisławowie, potem w Kołomyi, a ostatnio we Lwowie, lat 62; Konstanty de Stelzer, starszy inżynier kolei państwowej, lat 55; Fryderyka Hampel, żona em. dyrektora szkół ludowych, lat 47. Amalia Nyiry, wdowa po urzędniku salinarnym, lat 77.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano + 8, w poł. +10 R. Bar. 759. Podnosi się. Pochmurno.

Poradzik.

— Mężu... dziś nie mogę ci zgotować kawy, bo studnie pozamarzały i niema wody.

— Wielkie rzeczy! czyż to musi być koniecznie kawa? zgotuj mi dziś herbatę!

Repertuar teatru hr. Skarbka. Dziś w poniedziałek „Szalawiła", komedya w 3 aktach Kazimierza Glińskiego. We wtorek „Gejsza". We środę (wznowienie) „Nasi najserdeczniejsi", komedya w 4 aktach Wiktoryna Sardou. We czwartek po raz 1-szy „Zaklęty zamek", operetka w 3 aktach Karola Millöckera. W piątek uroczyste przedstawienie ku uczczeniu pięćdziesięcioletniego jubileuszu panowania Najj. Pana Franciszka Józefa I. W sobotę po południu „Wilhelm Tell", dramat w 5 aktach Fryderyka Schillera, wieczorem „Gejsza".

Literatura i sztuka.

Z teatru. Wczoraj i przedwczoraj, zarówno na popołudniowych jak i na wieczornych przedstawieniach był teatr literalnie nabity. Ani jednego miejsca wolnego nie było, wszystkie bowiem co do jednego sprzedano. Świadczy to, że sezon [illegible] ... i że publiczność [illegible].

Z ostatnich przedstawień wyróżnić musimy przedstawienie „Właściciela kuźnic" i z tej sztuki świetną grę pani Siennickiej. Rolę księżnej grywały u nas rozmaite panie, ale zwykle rola ta usuwała się na dalszy plan. Dopiero pani Siennicka postawiła ją na pierwszym planie, przez to, że odtworzyła ją tak, jak należy, bo z prawdą [illegible]. Wyrzeźbiła tę postać z takim artyzmem, [illegible] jak tylko [illegible] sama zastosowała do intencyi autora. Ohnet pragnął, aby księżna była młodą, piękną i bogatą. Pani Siennicka poczynając od wachlarza do rękawiczek, od trzewików do kapeluszy, od koronek do brylantów, była w każdym calu bogatą piękną i stylową księżną de Bligny.

Na naszej scenie przez ostatnie 10 lat jej upadku wkradł się zły zwyczaj lekceważenia szczegółów tualety. Przypominamy sobie takie wypadki, że w sztuce się mówi, iż na dworze jest 15 stopni mrozu, a aktor wchodzi na scenę w słomkowym kapeluszu, albo odwrotnie w upał letni zjawia się w zimowym paltocie. Skoro dopuszczano się takiego niedbalstwa, to cóż dopiero mówić o drobnych szczegółach, które przecież rażą inteligentnego widza i złe światło rzucają na aktora.

Dla jaśniejszego wyrażenia naszej myśli, przytoczymy przykład z tego samego przedstawienia „Właściciela kuźnic". Jest lipiec; w sztuce mowa o tem, że nieznośne panują upały, tymczasem margrabina de Beaulieu, dama wielkiego paryskiego świata jest ubrana w drugim akcie w wełnianą suknię skromną, taką, jaka krojem i wykończeniem byłaby odpowiednią dla osoby mającej rocznego dochodu 800 zł. Na scenę wchodzi baron de Prefond. Wraca on na zamek margrabiny de Beaulieu z wycieczki do Paryża, którą przedsięwziął przed kilku godzinami i skąd przywozi najświeższe nowiny. W życiu taki baron de Prefond pojechałby do Paryża w ubraniu lawn-tennisowem w żółtych trzewikach i słomkowym kapeluszu. Na scenie naszej zjawia się on w czarnym tużurku, zapiętym pod szyję, w tem, co Francuzi nazywają *la haute tenue* i co wkładają w najbardziej uroczystych chwilach, odbywających się za dnia białego przed 6 tą wieczorem. Nadto ma czarne pantalony, czego nikt na świecie do tużurka nie nosi, na głowie czarny cylinder (pamiętajmy, że on wraca z wycieczki kolejowej do Paryża w miesiącu lipcu) a na nogach czarne pantofle, zapięte na dwie klamry gumelastyczne, a więc rodzaj obuwia, którego nikt nigdy nie nosi i które chyba uchodziłoby do gry w piłkę (*foot ball*), lub do wyścigów cyklistów. W chwilę po wejściu do salonu barona de Prefond anonsują przybycie państwa Moulinet i baron oświadcza swojej ciotce margrabinie de Beaulieu, że usunie się do swoich apartamentów, bo jest niewłaściwie ubrany, aby przywitać tych gości. A w cóż chciałby się on ubrać, jeżeli uważa, że czarny tużurek jest jeszcze za mało poważnym strojem? To też p. baron wyszedłszy za kulisy, przyszedł sam widocznie do przekonania, że nic poważniejszego na świecie już nie ma nad czarny tużurek, bo po chwili wrócił w nim na scenę i w tych samych z gumelastycznymi klamrami trzewikach, które zresztą tak mu się podobały, że był w nich w drugim akcie na weselu, w trzecim na wielkiej recepcyi i w czwartym na arenie pojedynkowej. Przecież to są horenda, których sumienny aktor nie powinien się dopuszczać.

Moglibyśmy jeszcze mnóstwo szczegółów z wczorajszych tualet przytoczyć, stanowiących prawdziwe śmieszności, jak np. suknia bez podszewek u dam wielkiego świata, panienka szesnastoletnia bez gorsetu z figurą starej kobiecy, buty z gumelastykami przy balowym stroju, stare, zelowane trzewiki na balu w wielkim świecie paryskim, rękawiczki koloru *blanc foncé* etc.

Niech te panie i ci panowie, którzy na najwyższych szczeblach sztuki jeszcze nie stoją, zechcą studyować takie pierwszorzędne gwiazdy, jak Gostyńską, Siennicką, Stachowiczową, jak Fiszera, Chmielińskiego, Feldmanna a przekonają się, że oni nigdy najdrobniejszego szczegółu nie pominą, czy to w charakterystyce czy w tualecie, niczego nie lekceważą, wszystko dostrajają do całości i w ten sposób tworzą arcydzieła, dające widzowi zupełną satysfakcyę estetyczną.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 26 listopada.

(Z.). Obroty dzisiejsze zamknięto ogólną zwyżką. Skorzystały z niej atoli nie walory lokalne, które ostatnimi czasy najbardziej były faworyzowane, lecz papiery międzynarodowe, przedewszystkiem kredyty, Statsbahny i akcye tytoniowe. Przypisać to należy większemu zainteresowaniu się giełd zagranicznych dla tej kategoryi papierów. Z walorów przemysłowych na pierwszym planie były dziś akcye czeskich kopalń węgla. Eksploatacya tych kopalń przybrała bowiem prawdziwie kolosalne rozmiary, gdyż węgiel czeski zyskał europejską markę i jest bardzo poszukiwany. W Brüxie naładowują podobno codzień około tysiąca wagonów węgla przeznaczonego dla zagranicy. Z akcyi bankowych oprócz kredytów cieszyły się także znacznym popytem akcye Länderbanku, gdyż instytut ten zamierza wziąć finansowy udział w przedsiębiorstwach elektrycznych firmy Schuckerta i w budowie kolei elektrycznej z Wiednia do Baden. Między posiadaczami akcyi kolei północnej ces. Ferdynanda wywołała wielkie niezadowolenie wiadomość, że ministeryum kolei żelaznych wystosowało do Dyrekcyi kolei północnej reskrypt, w którym oświadcza, że ze względu na wzmagający się ustawicznie czysty zysk tej kolei domaga się w myśl postanowień koncesyi ponownego obniżenia taryf.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 356·75, węgierskie 385 50, Anglobanki 154·—, Uniony 291·—, Bankvereiny 262 75, Länderbanki 225 50, Ludwiki 210.70, Czerniowieckie 291·—, Elbethale 258·25, Renta papierowa 101·20, srebrna 100 95, austryacka złota 119·80, austr. renta wal. kor. 101·35, węgierska złota 119·75, węgierska renta wal. kor. 97·60, dukat 5·69, 20 frankówka 9·55—, marki 11·80, ruble 1·27½.

Ceny zboża. Wiedeń 27 listopada. Pszenica na wiosnę 9·67—9·69; żyto na wiosnę 8·67—8·68; owies na wiosnę 6·23—6·25; kukurydza na maj-czerwiec 5.14—5·19. Spirytus 17·60—17·70. Tendencya ospała.

§ **Z targu zbożowego na Kleparzu.**

Kraków 25 listopada.

Dzisiejszy targ na Kleparzu odbył się w usposobieniu spokojnem, gdyż ze względu na mniej korzystne sprawozdania z targów węgierskich, kupujący zachowali się wyczekująco. Wskutek tego większe transakcye miejsca nie miały, a drobne sprzedaże, jakie doszły do skutku, odbywały się na podstawie cen dotychczasowych.

Płacono: pszenicę białą 9.35—9.85, czerwoną 9.35—9.85, żółtą 9.35—9.80, żyto n. 8.25—8.70, jęczmień browarny 6.75 do 7·50, na krupy 6.25 do 6.50, owies n. 6·30—6·60; rzepak 11.25 do 11.80, koniczyna czerwony —.— do —.—, biały —.— do —.— zł., kukurydza 0.00—0.00. Wszystko za 100 kilogram.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

Telegramy Przeglądu.

Wiedeń 28 listopada. Koło polskie przy bardzo nielicznym komplecie członków odbyło wczoraj długie posiedzenie, poświęcone częścią sprawom, które przyjdą na porządek dzienny najbliższego plenarnego posiedzenia Izby, częścią poruszonym przez posłów rozmaitym postulatom krajowym. Na początku posiedzenia przeprowadzono długą poufną dyskusyę nad sprawozdaniem o posłuchaniu, jakie miała u ministra skarbu dra Kaizla deputacya Koła w sprawie nadużyć galicyjskich władz skarbowych przy wymiarze podatku osobisto-dochodowego. Koło poleciło swemu sprawozdawcy udać się jeszcze raz do ministra skarbu i zrobić mu ponowne przedstawienie w tej sprawie. Następnie przyszła pod dyskusyę sprawa podpisania interpelacyi do rządu w sprawie nowego połączenia Pragi z Tryjestem i budowy kanału między Dunajem-Wełtawą i Łabą, oraz Dunajem-Odrą i Wisłą. Interpelacyę tę zamierzają wnieść liberał niemiecki Russ, młodoczech Kaftan i członek wiernokonstytucyjnej szlachty niemieckiej bar. Schwegl, — świadczy to zatem o pewnem zbliżeniu się Czechów i Niemców na gruncie ekonomicznym. Koło uchwaliło podpisać ją. — Z kolei p. Eugeniusz Abrahamowicz poruszył krzywdzące publiczność galicyjską zarządzenie ministra kolei żelaznych, skracające termin do wyładowywania wagonów z 24 na 6 godzin. — P. Struszkiewicz dał w tej sprawie uspokajające wyjaśnienie, dowiedział się bowiem od ministra Witteka, że zarządzenie to jest tylko chwilowe i wywołane zostało dotkliwym brakiem wagonów towarowych, gdy jednak brak ten ustanie, rozporządzenie owo zaraz zostanie cofnięte. — Przy tej sposobności poruszono opóźnienia w doręczaniu awizów i uchwalono domagać się od rządu zaradzenia złemu. Z kolei debatowano nad poruszoną przez p. Merunowicza sprawą budowy kolei ze Lwowa do Winnik i stwierdzono, że sprawa ta przewleka się jedynie z winy Magistratu i Rady miasta Lwowa, które nie wdrożyły żadnej poważnej akcyi w tej mierze i nie oświadczyły w jakiej mierze gmina miasta Lwowa decyduje się poprzeć finansowo plan budowy tej linii. Wobec tego postanowiono nie nawiązywać z rządem rokowań w tej sprawie.

P. Kozłowski złożył referat o traktacie handlowym z Japonią, który przyjdzie jako pierwszy punkt porządku dziennego pod obrady Izby. Koło uchwaliło głosować za tym traktatem. Nastąpiła ożywiona debata nad referatem p. Piętaka o ustawie, podwyższającej płace sług państwowych. Pp. Dawid Abrahamowicz i Potoczek sprzeciwiali się tej ustawie i wykazywali, że oprócz dotkliwego obciążenia ludności, płacącej podatki, może ona wywołać w kraju ferment, którego następstwa na razie nawet przewidzieć się nie dadzą. Polepszenie płac sług państwowych, proponowane zarówno przez rząd jak i przez komisyę, idzie stanowczo za daleko. Najniższa płaca wynosić ma 400, najwyższa 700 złr., oprócz tego zaś i dodatek aktywalny i dwa pięciolecia, i umundurowanie. Sługa zatem, nie mający żadnych studyów, będzie miał z górą 1.000 złr. i położenie jego materyalne lepsze będzie, niż niejednego człowieka, mającego studya uniwersyteckie. Ustawa ta, jak to wykazywał p. Abrahamowicz, sprawi to, że wszyscy funkcyonaryusze krajowi, powiatowi, gminni itp. zażądają podwyższenia płac, a i tak już ledwo można w budżecie powiatów i gmin związać koniec z końcem. — P. Potoczek również sprzeciwiał się przyjęciu tej ustawy, dowodząc, że po jej przyjęciu wszystkim parobkom, wyrobnikom, pastuchom nawet przewróci się w głowie, wszyscy oni będą się domagać większej zapłaty i gospodarze chyba będą musieli przestać ziemię uprawiać. Wtedy stanie się to, do czego dążą socyaliści, t. j. że państwo zabierze ziemię, gdyż prywatny właściciel nie będzie mógł utrzymać się na niej.— Obaj ci oponenci zostali przegłosowani. Koło uchwaliło głosować za wnioskami komisyi i do zabrania głosu w pełnej Izbie upoważniło pp. Eugeniusza Abrahamowicza i Dulębę.

Załatwiono jeszcze kilka drobniejszych spraw, między innemi postanowiono przedłożyć rządowi memoryał o potrzebie rozmaitych inwestycyj w Krynicy, a przedewszystkiem jej kanalizacyi i zaprowadzenia wodociągu, gdyż obecnie z powodu złej wody do picia wybucha tam często tyfus, co odstrasza kuracyuszów.

Waszyngton 28 listopada. Mac Kinley zamierza pozostawić Filipiny przynajmniej przez rok pod rządem wojskowym. Taryfa celna ma być dla wszystkich państw ta sama, co dla Stanów Zjednoczonych. Koszta administracyi będą musiały wyspy same pokryć, głównie z dochodów celnych. Ta sama polityka niewątpliwie będzie zastosowana także na Kubie i Portorico. W sprawach tych prezydent nie troszczy się o spory frakcyi politycznych, lecz postępuje energicznie wedle swego widzimisię.

Warszawa 28 listopada. Urzędowy *Warszawski Dniewnik* dowiaduje się, że najdalej do 1 lipca 1899 nastąpi podwyższenie płac oficerów i urzędników wojskowych o 25 procent. Budżet armii wskutek tego zwiększy się o 14 i pół miliona rubli rocznie.

Peszt 28 listopada. Rektorowie uniwersytetu i techniki zamknęli obydwa te zakłady do 5 grudnia, ponieważ studenci zamierzali dnia 2 grudnia, jako w dniu jubileuszu Cesarza, urządzić demonstracye.

Utrzymuje się pogłoska, że Szilagyi zamyśla złożyć godność prezydenta Izby deputowanych.

Paryż 28 listopada. Adwokat Hild, sekretarz Laboriego, pojedzie 9 grudnia do Kajenny. Pomoże on tam Dreyfusowi w napisaniu memoryału do sądu kasacyjnego.

Berlin 28 listopada. Rządy państw związkowych porozumiały się co do zgodnego postępowania z anarchistami. W Berlinie utworzonym będzie wspólny urząd dla zbierania wiadomości o ruchu anarchistycznym.

Paryż 28 listopada. Żona Dreyfusa otrzymała od męża następującą depeszę: „Cieszę się wraz z wami. Mój stan moralny i fizyczny jest dobry".

Do dziennika *Rappel* donoszą z Amsterdamu, że Esterhazy przybył tam pod fałszywem nazwiskiem.

Wbrew zapewnieniu jenerała Zurlindena, który oświadczył, iż od nikogo nie odbierał instrukcyi w sprawie Picquarta, utrzymuje *Rappel*, że Zurlinden od początku tej sprawy utrzymywał bezustanny kontakt z Cavaignac'iem, Derouledem i b. pułkownikiem Paty du Clam. Nadto utrzymuje *Rappel* że Zurlinden był już odstąpił od skargi przeciw Picquartowi z powodu zakomunikowania obcym osobom dokumentów, lecz skutkiem nacisku, wywartego nań, kazał następnie tę skargę wytoczyć.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów 28 listopada. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 209.00 do 212.00. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 290.00 do 293.00. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 372 — do 382.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 205.— do 212.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 260·— do 265.—. Banku dla handlu i przemysłu po 200 zł. 203.50 do 211.00.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat z 10 proc. prem. 110.00 do 110.70 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.00 do 100.70, 4 proc. los w 60 lat 96.50 do 97.20. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.80 do 101.50. Banku kraj. 4 proc. los. w 57 lat 98.00 do 98.70, Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 97.30 do 98.00, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97.30 do 98.00, 4 proc. los. w 56 lat 95 10 do 95 80.

Obligi za 100 zł., Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97.50—98.20, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.50 do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.30 do —·—. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·50 do 98·20. Pożyczki kraj. 6 proc. 104·00 do —.— 4 proc. z 1893 r. 96 70 do 97 40, 4 proc. po 200 koron z 1898 roku 94.50 do 95·20.

Monety. Dukat cesarski 5.65 do 5.75. Napoleondor 9.52 do 9.62. Półimperyał 9.50 do 9.60. Rubel rosyjski papierowy 127 30 do 128.30. 100 marek niemieckich 58.80 do 59·20.

Wiedeń 27 listopada. Notowania wieczorne. Przy zamknięciu giełdy popołudniowej stały akcye kredytowe na 356.75, węgierskie akcye kredytowe 385.50, anglobanku 154.—, bankvereiny 262.75, unionbanku 291.00, laenderbanku 225·50, staatsbahny 356.25, lombardy 68.75, elbethale —.—, akcye tytoniowe 129.50, rima 272.50, alpiny 182.25, renta majowa 101·20, renta koronowa węgierska 97.60, losy tureckie 58.35, marki 58.95, ruble ——.

27)

REGINA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

JULIUSZA LERMINA.

(Ciąg dalszy).

— Czyś tego pewien? czy możesz twierdzić z czystem sumieniem, że nie ma na świecie nikogo, w czyich żyłach płynęłaby ta sama krew? Dziś, gdy niesnaski polityczne głuszą wszelką litość, kto wie, czy losy tego dziecka nie stałyby się zależne od kogoś, kto usłyszawszy jej prawdziwe nazwisko, stłumiłby w sercu zemstę stronniczą. Dla niej to, dla niej jedynie, proszę cię, wszystko mi wyjaw. My dwaj, mamy jedno sumienie, jedną niemal duszę... Gdybyś ty do mnie tak przemawiał jak ja do ciebie, dawnobym już ci wyznanie uczynił.

— A więc słuchaj, prawdy się dowiesz nareszcie — rzekł Jan Chêne, podnosząc głowę. — Dość już tego tchórzostwa. Mam obowiązek do spełnienia. Dziękuję ci, żeś mi to przypomniał.

— Spiesz-że się, muszę na moje stanowisko wracać — naglił go Carthame. — Starzy jak ja, powinni dawać przykład akuratności młodym.

— Słuchaj zatem — rzekł Chêne z bolesnym ust wyrazem. — Nazwisko moje nic ci jeszcze nie objaśni Nazywam się Jan de Listal. Urodziłem się we Francyi środkowej. Rodzina moja należy do starej szlachty. Ojciec mój wyemigrował w roku 1781. Miałem wtedy lat 16. Nie wywiózł mnie z sobą zagranicę, aby się nie obarczać niepotrzebnym kłopotem. Umarł już, zapomniałem mu urazy. Ludzie tej epoki i tej kasty mieli inne pojęcia niż my, innem oddychali powietrzem. Nie sądźmy ich naszą miarą.

„Byłem pozostawiony sam sobie do roku 1792 — gdyż nasz rządzca uznał także za stosowne wyemigrować. Porwał mnie prąd zapału, ogarniającego wówczas całą Francyę płomieniem.

„Znalazłem się w Paryżu. Jak? Nie pamiętam. Przeszedłem pół Francyi pieszo. W Paryżu nie miałem żadnych znajomości, stosunków, a brakło mi też pieniędzy. Traf zaprowadził mnie na plac Panteonu w chwili, gdy rekrutowano żołnierzy. Wzywano na pomoc ginącej ojczyzny, nie namyślałem się długo. Wbiegłem na estradę, rzuciłem moje nazwisko. Po chwili byłem już żołnierzem.

„Przyszły potem chwile niezapomniane — maszerowało się boso, o głodzie, lecz w nadziei ocalenia ojczyzny.

„Za Lucknerem wkraczałem do Menin, Ypres, Courtrai. Biłem się z Austryakami pod Cassel. Nazwy te brzmią mi w głowie i sercu echem surmy bojowej.... Płakałem ze wściekłości, gdy po Nerwinde, nikczemny Dumauriez przeszedł do wroga... Wyłem z radości po Wattignies... W roku 94 należałem do armii olbrzymów, byłem jednym ze zwycięzców pod Fleurus. Gardziłem swojem szlachectwem, teraz dopiero czułem się prawdziwie uszlachconym.

„W roku 95 z Łazarzem Hoche, wyruszyłem do Wandei, w roku 96 poszedłem za nim do Irlandyi.

„Ciężka rana sprowadziła mnie znowu do Francyi. Statek rybacki wyrzucił mnie na brzeg Bretanii.

„Wieśniacy wyciągnęli mnie z jakiegoś rowu w pobliżu Rennes. Byli to ludzie poczciwi — ani biali ani błękitni, ot, spokojni sobie rolnicy, których jedyną troską były zabiegi o chleb powszedni.

„Przez trzy miesiące byłem pomiędzy życiem a śmiercią. I czemużem wydostał się z tego otwartego grobu?

„Wyratowała mnie kobieta, słodka, czysta i anielska.

„Muszę ci nareszcie ją wymienić. Była to Bianca de Sallestaines.

— De Sallestaines — zawołał Carthame. — Ależ ja słyszałem już to nazwisko. Tylko nie mogę sobie przypomnieć gdzie i kiedy.

— Zaraz dopomogę twej pamięci... Jakim cudem ta słodka istota, urodzona w gnieździe feudalnem, o ciasnych przesądach i zaciekłej nienawiści do wszelkiej swobody — umysłowej zarówno, jak i cywilnej, jakim cudem, powiadam, taka istota przejęła się litością dla wroga, dla błękitnego, któregoby ojciec jej kazał rozstrzelać bez skrupułu, gdyby mu to prawo służyło, do dziś dnia tego zrozumieć nie mogę. Bądź co bądź, Bianka ukradkiem, bez wiedzy rodziny, poświęciła się nieznajomemu, a gdym do przytomności wrócił, ujrzałem ją przy mojem łożu, uśmiechniętą, promienną, jak istna Siostra Miłosierdzia, która ratuje człowieka nie pytając go kim jest i jakie są jego wierzenia.

„Nie żądaj odemnie, przyjacielu, abym nad temi wspomnieniami się rozwodził. Był to okres mojego życia tak słodki, tak upajający, iż pojąć nie mogę, żem nie umarł po strasznej katastrofie, która go zakończyła brutalnie.

„Bianka de Sallestaines była pogardzana, nienawidzona w dumnej rodzinie, której przodkowie sięgali zamierzchłej epoki naszych dziejów. Dlaczego spotykała ją ta nienawiść i pogarda? Rozumny, zacny mistrz Holender wlał w serce jej miłość do ludzkości i swobody, przedstawił jej szerokie widnokręgi prawdy i sprawiedliwości.

„Za to prześladowano ją okrutnie na zamku ojcowskim, była to jakby nieustanna inkwizycya rodzinna. Bianka miała siostrę, młodszą znacznie od siebie.

„Ojciec, chcąc ją ustrzedz od „zgubnych wpływów", które „spaczyły" umysł jej siostry, od dzieciństwa poczęli urabiać, ugniatać jej umysł, wedle swoich pojęć i przekonań, wlewając weń swoje własne nienawiści i urazy.

„Dziecko miało jednak dobrą naturę. Długi czas Bianka próbowała przeciwdziałać tej ojcowskiej „robocie", lecz wkrótce musiała despotyzmowi tyranii ulegać, nie znajdując obrony w matce, podległej niewolniczo mężowi.

„I oto wśród rodzeństwa wszczęła się głucha niechęć — brat i siostra uważali Biankę za szatana, za potwór: chciano ją ugiąć, wypędzić z niej tego „dyabelskiego" ducha, lecz ona stała przy swoich zasadach niezłomnie.

„Pewnego dnia, po burzliwej sprzeczce, ojciec przeklął ją i wypędził.

„Uciekła, oszalała z rozpaczy i zgrozy — bo i rodzeństwo połączyło się z tyranem, brat ją wyganiał — siostra odtrąciła ją ze wstrętem.

„Bojąc się kołatać do ludzi ze swojej sfery, szukała schronienia u wieśniaków, pracujących w pocie czoła na chleb powszedni. Nie odtrącili jej, ogrzali przy wspólnem ognisku, podzielili się skromną strawą. Ona, przejęta dla nich wdzięcznością zarabiała rękami na swoje prawo do życia.

„Już od dwóch lat przebywała pod tą strzechą — miała lat dwadzieścia — gdy dobroczyńcy jej znaleźli nawpół żywego człowieka w rowie.

„I on także wyrzekł się ojcowskiego pałacu, goniąc za słońcem miłości i prawdy.

„Po raz pierwszy Bianka znalazła duszę bratnią, to też przylgnęła do niej odrazu.

„Gdym wyzdrowiał, zrozumieliśmy oboje, że już nas nic nie rozdzieli, że należymy do siebie na zawsze.

„Udałem się wprost na zamek de Sallestaines i po raz pierwszy w życiu z pewną dumą wymieniłem moje nazwisko, które wobec tych ludzi [illegible].

„Badano mnie — opowiedziałem moje życie, a gdym wyznał, że służę Republice, zostałem wygnany, czego zresztą mogłem się był spodziewać.

„Ujrzałem jedną tylko przed sobą drogę: tegoż dnia ksiądz połączył mnie z Bianką węzłem dozgonnym.

„Pozostawały mi jeszcze okruchy ojcowskiego mienia.

„Byłem młody, siły mi wróciły. Kupiłem dom po za Redon, o kilka staj od twojej sadyby. Nie spotkaliśmy się jednak ani razu i nie dziw, bo nie opuszczałem prawie mojego rozkosznego gniazdka.

„Bianka obdarzyła mnie córką. Całym moim światem były te dwie istoty ukochane. Pracowałem, jak wieśniak w pocie czoła, a będąc przejęty teoryami Jana Jakóba Rousseau, chełpiłem się w duchu, że żyję na łonie natury.

„Zdawało mi się, że już o mnie zapomniano — alem się mylił.

„Pewnego dnia skutkiem denuncyacyi, zostałem powołany do sztabu głównego: skorom z ran się wylizał i był żywy, miałem obowiązek odsłużyć resztę mojego terminu. Państwo mnie wzywało. Prosiłem o zwolnienie, ale napróżno — prawidła dyscypliny są niezłomne. Pozostawała mi jedna tylko droga — udać się do Paryża i tam ostatecznie uwolnienie ze służby uzyskać.

„Chciałem już raz z tem skończyć. Wyruszyłem, pozostawiając w domu żonę i dziecko.

„Przybyłem do Paryża na kilka dni przed zamachem *Nivôsa*, sprawy moje poszły odrazu gładko. Nazwisko torowało mi wszędzie drogę: zaczynano wówczas pochlebiać szlachcie rodowej. Zbrodnia przy ulicy Saint-Nicaise zmieniła sytuacyę odrazu.

„Ciebie republikanina starego konwencyonistę, schwytano odrazu i wywieziono bez sądu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Mesłowski. — Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. — Drukarnia Narodowa Stanisław Maniecki i spółka. Hotel George'a.